

DLACZEGO KIRGIZ SCHODZI Z KONIA? Czyli Leszcz Adventure Team w wielkiej wyprawie badawczej do Azji centralnej

Rozdział pierwszy - Jak w przyływie bojowego nastroju porwać się z motyką na słońce.

Ty.. stary ? Zdajesz sobie sprawę, że pijemy sobie wino w samym środku Pamiru, 6 tysięcy kilometrów od domu? – wybełkotałem do Bartka gapiąc się w niesamowicie ugwieżdżone niebo.

Jeszszzzzzcze to do mnie nie dociera – odpowiedział podając butelkę dość paskudnego kagora.

No bo i jak w to uwierzyć skoro niecałe 5 miesięcy wcześniej odbyłem pierwszą w swoim życiu jazdę na motocyklu. Bartek był dalece bardziej doświadczony....o jakieś 7 tyś km.

Tak czy inaczej w czasie jednej z naszych weekendowych przejażdżek po okolicy zaczęliśmy przebąkiwać o jakiejś prawdziwej wyprawie w daleki świat. Jedno było pewne, musi to być wschód a reszta to już szczegół. Że zerowe doświadczenie? Phiii z doświadczeniem to każdy potrafi a poza tym to wiesz... może to ostatnia szansa przed dziećmi, żonami i całą tą resztą jakże dorosłych spraw.

Z głupa poprosiliśmy Dziennik Polski o patronat medialny wyprawy do Azji centralnej... bo w sumie dlaczego by nie Azja centralna, przecież to i tak nierealne żebyśmy gdziekolwiek w tym roku pojechali.

Pewnego lipcowego dnia dzwoni Bartek.

– Stary jedziemy!

- Jak to jedziemy?!! Gdzie jedziemy?!! Dlaczego jedziemy?!!! Czego pan ode mnie chce?!!!! – zapytałem zimnym tonem jak na zawodowca przystało

- Dostaliśmy patronat! Nie można się teraz wycofać. Bóg Honor Ojczyzna, uważasz Pan?

No i pięknie. Czyli mamy trochę ponad miesiąc na załatwienie wiz do 5 krajów, przygotowanie motocykli, opracowanie trasy i zmianę naszych wizerunków w rodzinie z nieodpowiedzialnych idiotów na niezwykle dzielnych podróżników hmmm.. zwykła zmiana nomenklatury ale nie wiedzieć czemu tak ładniej brzmi.

No i tak jakoś dziwnie wyszło, że 17 sierpnia w nocy dwóch kuzynów wyruszyło hen na wschód.

Dzień pierwszy

Oczywiście pakowanie odbyło się w dzień wyjazdu i całkowicie na wariata, przez co zamiast ok. 18 wyjechaliśmy ok. 21. W dodatku dzięki sprawności Poczty polskiej wyruszyliśmy bez mapy Pamiru, zapasowego reglera oraz motooilera. Rzeczy te doszły dzień po naszym wyjeździe.



Po spakowaniu dziarsko zasiedliśmy na motocykle, pożegnalna foto i jazdaaaaa!!!!

Jedynka, gaz, ryk silnika i ... postój w głębokim szoku 10 metrów dalej. W życiu nie jechałem z bagażem przez co te nieszczęsne 10 metrów przejechałem pięknym wężykiem.

Dobrodzieju, gdzie ty się w Pamir pchasz, wsiądź ty lepiej w pekaes i do Krynicy jedź do wód kąpieli błotnych zażyć. Dobrze, że już noc. Jakby co nikt nie zobaczy kompromitującej gleby Afryki w pełnym rynsztunku.

O dziwo jednak bardzo szybko przyzwyczailem do całego tego dobytku za plecami i po paru kilometrach już nie czułem żadnej różnicy w jeździe.

Tego dnia postanowiliśmy dojechać do Brzozowa skąd rano chcieliśmy uderzyć na ukraińską granicę w Krościenku.

Noc, ciepło, jedzie się świetnie. Powoli zaczyna do nas docierać, że właśnie jedziemy w kierunku jednej z największych przygód w naszym życiu.

GPS zapragnął poprowadzić nas skrótem w okolicach Odrzykonina dzięki czemu ok. 12 w nocy wylądowaliśmy w kukurydzy bez drogi naprzód. Jednak nie ma tego złego. Tak ugwieżdżonego nieba nie widziałem od dawna. Jadę z uchyloną szybą kasku co później praktykuję przez cały wyjazd. Dzięki temu zachwycony chłonę niesamowicie intensywne zapachy sierpniowej nocy.

W końcu po 1 w nocy lądujemy w łóżach w Brzozowie.

Dzień drugi

Zwijamy się dobrze po dziewiątej i niedługo lądujemy w Sanoku gdzie spotykamy Gajrona paradującego sobie radośnie po mieście. Po krótkiej pogawędce sprzedaje nam świetny patent na mocowanie butelki w Afryce przez co przyczynia się w znaczny sposób na przedłużenie naszej egzystencji.

Z Sanoka rzut beretem na o dziwo praktycznie pustą granicę w Krościenku. Niestety ukraiński celnik gdy dowiedział się, że jedziemy dalej w świat od razu bez pytania wbił nam wizę tranzytową a do tego wymyślił nam i wpisał w pieczętkę punkt przekroczenia granicy z Rosją. Na nasze protesty, że przecie panie kochany w deklaracji jak byk wpisaliśmy jako cel wizyty „TOURISM” tylko wzruszył ramionami i kazał jechać dalej. Następne okienko raczyło być zamknięte. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy załogę okienka w postaci ładnej blond pani celnik zażywającej słońca z boku pakamery. Pani celnik okazała się zupełnie bezbronna wobec naszego uroku osobistego i od ręki wbiła swoje niezwykle ważne pieczętki na świstkach, które zostały nam zabrane 20 metrów dalej na ostatniej bramie. Jeszcze coś tam przebaknęła, że w zamian za tak wyczerpującą pracę należy jej się bombonierka ale zadowolili się widokiem 2 pełnych garniturów zębów tworzących banany na naszych gębach. Tym samym przekroczyliśmy pierwszą granicę tego wyjazdu (pomijając granicę głupoty, która została przekroczona jakiś czas temu) Jedziemy w kierunku na Sambor oczami chłonąc widoki a dupami chłonąc dziury w drogach..a może drogę w dziurach. Za Samborem jedziemy na Drohobycz żałując, że nie mamy czasu na poszwędanie się śladami Shulza.

Przed Stryjem jedziemy sobie fajną już nie dziurawą drogą, na liczniku ok. 100/h droga prosta, widoki piękne a tu nagle zaczyna mną rzucać i ściąga mi Afrykę na przeciwny pas. Trochę spanikowany bo właśnie przed chwilą minął mnie jadący z przeciwka TiR zjeżdżam na pobocze wizualizując już sobie we łbie wielką dziurę w oponie. Patrzę Ci ja na koła a tu nic. Gumy całe, powietrza też nie brakuje, więc kie ch....? Już mam zasiadać z powrotem ale coś tyso z prawej strony.... I ja się pytam... gdzie jest kufer👉? Odleciał mi kufer... wziął i fruuiu... Już po tobołach.

Zawracam oczekując widoku sprasowanego kufra i zawartości tegoż rozwianego w promieniu 100 m. Jadę 50m, 100m, 500m a kufra niet. Wracając pytam chłopca siedzącego na poboczu czy nie widział dziwnych zjawisk lotniczych. W odpowiedzi wskazuje na

swojego kumpla, który jakieś 100m dalej włązi do rowu. W chwili gdy do niego podjechałem właśnie wspinał się po zboczach dźwigając radośnie mój latający kufer. W czterech oglądamy pacjenta i z dumą diagnozujemy tylko lekko wgnieciony narożnik oraz żałośnie stercząca słomkę wbitą w karimatę zamocowaną do kufra.

Przyczyną lotu było poluzowane mocowanie mojej własnej produkcji, z którego zresztą jestem bardzo dumny i będę bił się z każdym kto twierdzi że jest do dupy.



Dalsza droga mija już bezproblemowo pomijając mój krzywy kręgosłup, który niemiłosiernie mnie napier.... jedziemy sobie radośnie na Iwano-Frankowsk, Chocim by o 0.00 zameldować się w Kamieńcu Podolskim. Tam fundujemy sobie pokój za 100 hrywien i biegniemy przez snem obejrzyć zamek i smotrycz. Uwielbiam to miasto. Byłem już tutaj jakieś 5 razy i niezmiennie mnie to miasto zachwyca. Podobnie zresztą jak cała Ukraina. Ten kraj ma w sobie coś takiego niesamowitego, że jak się tam raz pojedzie to już człowiek zawsze będzie tęsknił.



Dzień trzeci

Rano podjeżdżamy pod zamek przylansować się jak należy i przy okazji trzasnąć kilka zdjęć, które musimy dziś wysłać do Dziennika.



Po foto sesji szybka (niesteety) rundka wokół rynku i jazda w kierunku Baru... Owszem tak też w Kamieńcu bywało, że po szybkiej rundce wokół rynku uderzało się do baru w ratuszu na libację do rana ale tym razem dumny zew podróży kieruje nas do Baru w pojęciu administracyjnym.

Na wyjeździe z Kamieńca mojej Afryce wybija 20 000 km..... z czego jakieś 5 000 moje.

Nie zgadzając się zupełnie z teorią „nie mam dziś czasu na skrót” pakujemy się w pierwszy napotkany skrót by po paru kilometrach zatrzymać się z zachwytem na gębach. Wybrany skrót okazał się piękną półszutrową dróżką w jeszcze piękniejszym krajobrazie.



W ten sposób dotarliśmy do Winnicy a stamtąd dalej na Kirowograd.

Udało mi się wypracować pozycję, dzięki której kręgosłup na chwilę przestał mnie boleć więc długie asfaltowe proste miały całkiem przyjemnie. Tak czy inaczej byłem tym moim kręgosłupem załamany. Po dłuższej jeździe byłem w stanie myśleć tylko o tym jak bardzo mnie napier..... a perspektywa 12 tys km nie napawała optymizmem.



Z Kirowogradu już po ciemku dojeżdżamy do.... Aleksandrii. Śmieszna sprawa. Ci Egipcjanie świetnie mówią po ukraińsku... hmmm....



Tam wysyłamy zdjęcia do Dziennika, jemy kebaba, pijemy piwsko i do spania.

Dzień czwarty

Tego dnia otoczeni przez pola słoneczników szybko dojeżdżamy do Dniepropietrowska. Ból kręgosłupa ustał i cała moja uwaga skierowała się na ból dupy. Na szczęście przerabiana kanapa Bartka nie okazała się wiele wygodniejsza od mojej seryjnej więc w podobnym czasie potrzebowaliśmy postojów kondycyjnych. Sam Dniepropietrowsk jest wielkim przemysłowym, zaniedbanym miastem. Takim trochę wrzodem na pięknym i szerokim Dnieprze.



Kierujemy się na Donieck by przez Luhansk dojechać do granicy w okolicach Krasnodonu.



Nagle zaczyna padać. Zatrzymujemy się, wyciągamy i wdziewamy na siebie przeciwdeszczówki tylko po to żeby 100m dalej ściągać je na zupełnie suchej drodze.



Robi się późno więc postanawiamy ominąć Luhańsk i kolejnym skrótem dojechać do Krasnodonu.



Manewr ten kończy się na wąskiej dziurawej dróżce na totalnym odludziu. I znów pozytywnym akcentem jest nieprawdopodobnie ugwieżdżone niebo. Po dłuższej walce z dziurami trafiamy na główną drogę aby po chwili zamiast do Krasnodonu właściwego trafić do jakiejś jego filii też o nazwie Krasnodon. Krasnodon 2 okazał się zabita dechami wiochą z 5 chatkami na krzyż.

No i tak kręciliśmy się po tych drózkach jak gównu w przerębli nie mogąc trafić w Rosję – kraj zajmujący pół świata.

W końcu odnaleźliśmy granicę, na której oprócz nas nie było nikogo co biorąc pod uwagę okolicę i godzinę jakoś specjalnie nas nie zdziwiło. Podchodzimy do okienka.. noo i jazda:

- Uuu to nie ta granica
- Jak to nie ta granica? – udajemy, że nie wiemy o co chodzi.
- Wbite macie przejście w Wołoszynie a to jest Krasnodon
- Ojej to co robić
- Musicie jechać do Wołoszyna (ok. 250km)
- itd.itp.

Zaczyna się zabawa „Wy udajecie, że przepisy rzecz święta i nic się nie da zrobić a my udajemy, że nie wiemy o co wam chodzi” Po jakimś czasie tego teatrzyku gość łaskawie mówi, że porozmawia z kapitanem. Bierze paszporty i znika za rogiem. Po chwili wraca z kapitanem. Kapitan z zatroskaną miną, boleje nad naszym losem no ale przepiiisy panowie, nie lzja! No to my dawaj od nowa, że jesteśmy w wielkiej potrzebie przekroczenia tej właśnie granicy. I tak wesoło sobie gawędziliśmy aż w końcu kapitan zaprosił jednego z nas do negocjacji za rogiem. Poszedł Bartek. Negocjacje doprowadziły do szybkich korekt w prawie granicznym Ukrainy. Naniesienie tychże poprawek wiązało się z uiszczeniem opłaty w wysokości 30\$ na rzecz służby celnej. Strona Rosyjska to już czysta przyjemność. Zaproszenie do pakamery, wszyscy uprzejmi, któryś pobiegł po mapę, żeby pokazać nam najszybszą drogę, inny pomaga w wypełnieniu wriemiennego wwozu motocykli jeszcze inny zagaduje o wyprawę.

Szybko się żegnamy i ok. 2 w nocy wjeżdżamy do Rosji. Po przejechaniu kilku kilometrów, mijając post z uzbrojonymi po zęby milicjantami szukamy noclegu. Zjeżdżamy w pierwszą polną drózkę i rozkładamy się pod krzakiem niewidoczni od drogi. Po chwili mijają nas milicyjni niwa. Nie zauważa nas i ciśnie dalej w step. Wraca po ok. 10 minutach i tym razem zatrzymuje się przy nas. Okazuje się, że dostali namiary z postu, że ktoś wjechał w pola. Po stwierdzeniu, że jesteśmy nieszkodliwymi leszczami milicjant, życzy nam dobrej nocy i zapewniając, że tutaj jest bezpiecznie odjeżdża.

Kładziemy się pod gołym niebem i zasypiamy gapiąc się w gwiazdy. Po jakimś czasie budzi nas deszcz. Szybko rozbijamy namioty i... i oczywiście po chwili przestaje padać.

W tym miejscu chciałbym wszystkim polecić namioty Quechua. Rozbija się to cudo w 2 sekundy niewiele dłużej składa. Do tego są całkiem niezłe jakościowo.

Dzień piąty

Dzisiaj proszę państwa w planach wycieczka śladami piątej armii pod Stalingrad czy też bardziej aktualnie pod Wołgograd a dalej na Astrachań. W czasie przerwy śniadaniowej w ramach walki ze zmuleniem zapodajemy sobie po burn'nie Bartek oczywiście wspinając się na wyżyny swego niedościgniętego dowcipu skomentował skuteczność tego wynalazku, jednak zbyłem go wyniosłym milczeniem i zgodnie zasiedliśmy na motocyklach.



Po 10 sekundach zatrzymaliśmy się 200 kilometrów dalej gdzie doszły mnie słowa towarzysza podróży.

Sss ssstaryyy!!! Co to było?

Burn.... Wyjąłem telepiąc się jeszcze delikatnie. Te ostatnie 200 km pokonaliśmy z prędkością nieosiągalną nawet dla najbardziej stuningowanej Łady a używając pierwszego kryterium mandatowego dotyczącego prędkości; Osiągnęliśmy chyżość niedoścignięta dla policyjnego konia.

Gdy mniej więcej wróciliśmy do rzeczywistości naszym oczom ukazała się droga na Wołgograd



W oddali nad Wołgogradem widać zbierające się burzowe chmury lecz my na szczęście zgodnie z mapą skręcamy na południe aby zupełnie ominąć Wołgograd i jadąc wzdłuż jednej z odnóg Wołgi wyjechać przed Astrachaniem. Lepiej wybrać nie mogliśmy. Jedziemy wzdłuż rzeki o brzegach porośniętych tatarakiem, mijamy małe wioseczki i ogólnie jesteśmy oczarowani krajobrazem.



Sielanka powiadam wam, sielanka. Och a oto i stado małych ćwierkających ptaszków wesoło przecina mi drogę... flaków nie widziałem ale kilka głuchych uderzeń o plastik jednoznacznie uświadamia mi, że już nie jestem godzien nosić znaczka „zasłużony opiekun zwierząt”.



Po 2 godzinach tego pięknego objazdu wokół Wołgogradu wyjeżdżamy w... Wołgogradzie No ale to w końcu zasłużone miasto a Wasilij Zajcew przez jakiś czas był moim idolem, więc jakoś szczególnie nie płaczemy.



Obrzeża miasta to typowy przemysłowy brud i smród do tego tonący w błocie po niedawnym deszczu więc szybko się stąd ewakuujemy w kierunku na Astrachań



Na horyzoncie to z prawej to z lewej strony błyskawice wałą aż miło więc nie trzeba było długo czekać żebyśmy wjechali w deszcz. Powoli zmierzcha i momentami robi się naprawdę ładnie





Ok. 200 km przed Astrachaniem zaczynamy rozglądać się za noclegiem a że burza wisie w okolicy pytamy miejscowych o jakąś gostinice.

Da da jest. Niedaleko w Janatewce 8 kilometrów ot tuda.

Po 60 kilometrach zrozumieliśmy, że nie 8 a 80. No tak w końcu tutaj 100 gram nie wódka a 100 km nie odległość.

W międzyczasie mignął nam znak turbazy, lecz gdy usłyszeliśmy cenę 1000 rubli za domek i 500 za namiot stwierdziliśmy, że taka burza to parodia burzy i dziki nocleg w namiocie nad Wołgą jest właśnie tym czego w tym momencie bardzo pragniemy.

Nie czekając dłużej zajechaliśmy 100 m za turbazę gdzie rzucając ostatni raz pogardliwym spojrzeniem w kierunku burzy idziemy spać.

Dzień szósty

Burza chyba wyczuła naszą niezwykłą odwagę i przeszła bokiem, my natomiast nie tracąc czasu pojechaliśmy w kierunku Astrachania.

W miarę szybko dojeżdżamy na miejsce lecz przez całą drogę z powodu silnego wiatru jechaliśmy w mocnym przechyle niczym pełnomorskie jachty. Hej ha kolejkę nalej! Hej ha kielichy wnieśmy! To zrobi doskonale morskim opowieścią!! Ahoj wesoła przygodo!



Stajemy w przydrożnym barze na obiad. Okazuje się, że stołuje się tam chyba cały posterunek miejscowej milicji. Rozmawiamy sobie wesoło i ogólnie jest fajnie. Na koniec policmajstry straszą nas jeszcze Uzbekistanem, że musimy szykować dużo kasy na łapówki i tym miłym akcentem się żegnamy.

Astrachań jakoś nas specjalnie nie zauroczył, lecz już siłownia „Atletyczny bizon” (tak proszę od dzisiaj do mnie mówić) oraz podmiejskie domki rozczuliły nas wielce



Stąd już tylko kawałek do Krasnego Jaru gdzie chcemy przekroczyć granicę z Kazachstanem. Jeszcze tylko płatny przejazd przez most pontonowy i meldujemy się na granicy.

Bezczelnie, nie widząc protestów a wręcz uśmiechy omijamy kolejkę samochodów i stajemy przed szlabanem. Po chwili podchodzi do nas rodzina Kazachów z saaba a delegacja w postaci córki zaczyna rozmowę po angielsku. Jednak jesteśmy tak dumni z naszego polsko-rosyjsko-szamańskiego języka, że biedne dziewczę kapituluje i przechodzi na rosyjski.

Jeszcze tylko kilka zdjęć na pożegnanie i podjeżdżamy do odprawy.



Odprawa rosyjska mija bardzo sprawnie i możemy podjeżdżać do Kazachów. Ruszamy nonszalancko z rozwianym włosiem, bez kasków, z kurtkami przewieszonymi przez motocykl no bo w końcu ile może być tego pasa neutralnego. Otóż pasa neutralnego może być 11 kilometrów.... No ale wiecie ...100 gram nie wódka..... U Kazachów tracimy sporo czasu przy wypisywaniu Strachowki i wriemiennego wwozu.

Zajmuje się tym 2 młodych cwaniaczków. Łącznie za ubezpieczenie i wriemienny wwoz liczą nam 50\$. Trochę się wnerwiamy ale okazuje się, że w budce obok chcą jeszcze więcej za Strachówkę więc odpuszczamy, za to 15\$ za wypisanie wriemiennego wwozu, który powinien być bezpłatny wkur.. nas dość mocno. Awanturujemy się z kolesiem ale

widać, że na tej akurat granicy jest to złodziejstwo zalegalizowane i nic nie wywalczymy. W końcu koleś dostaje 12\$. Te 3\$ to wprawdzie nikłe zwycięstwo ale w imię zasad nie dostał całości. Słyszymy jeszcze od celników, że w Tadżycy to dziki lud i na pewno poderżną mi gardło za moje dredy i w ogóle po co się tam pchamy. W tym samym co my czasie z biurokracją walczy Central Azja Team z Drawska Pomorskiego. Wesoła ekipa w 2 terenówkach (nie pomne już jakiej marki).

Narzekali, że co chwilę płacą mandaty lub inne łapówki. Bardzo się dziwili, że dojechaliśmy tutaj z czystym kontem mandatowym. Niestety po chwili wezwano ich do wyjazdu i chłopaki pojechali. Niedługo my także wjechaliśmy do Kazachstanu

Rozdział drugi - Po co zakręty w stepie

Kazachstan przywitał nas wielbładami i burzą, która nas wyprzedziła a my już prawie do końca dnia jedziemy w jej deszczowym ogonie podziwiając oddalające się rozbłyski.



Jedziemy na Atyrau walcząc z deszczem i cholernie mocnym wiatrem. Dookoła po horyzont ciągnie się step.



Po raz kolejny z nudów w moim kasku odbywa się recital wszelkich znanych mi melodii. Dzięki Bogu jestem jedynym słuchaczem tego smutnego wydarzenia. Kask ma niestety tą właściwość, że pięknie wydobywa fałsz wszelaki, który tym razem nie jest zagłuszany przez zgodne wesołe stado wyjących współbiesiadników. Na skutek wielu bisów recital przeciągnął się do zmroku..ach jak ten czas leci na porządnym koncercie. Potrwałby zapewne dłużej ale nagle zerwał się tak silny wiatr, że nie dość, że jechaliśmy w mocnym przechyle to w dodatku zaczęło nas ściągać do rowu. Po takiej dość męczącej walce z wiatrem, deszczem i ciemnością, ciepła kolacja jaką sobie zamówiliśmy w przydrożnej knajpce była czymś naprawdę genialnym.

Po przejechaniu jeszcze ok. 30 km wjeżdżamy w step na nocleg. Na szczęście tutaj nie padało więc radośnie walimy się do spania.

Dzień siódmy

W nocy zbudził nas jakiś straszny łomot. Na szczęście był na tyle charakterystyczny, że rozpoznaliśmy w nim jadący pociąg. Rano okazało się, że rozbiliśmy się przy linii kolejowej.



I znów 360 stopni dookoła tylko step. W związku z tym jako osobnicy z natury dociekliwi, przy śniadaniu rozważaliśmy problem dystansu na jaki musiałby się człek oddalić w celach posttraumicznych aby przestać być widocznym dla drugiego. Wniosek był prosty.. zesrałbyś się kolego w gacie podczas tej wędrówki.



Na szczęście nikt nie musiał sprawdzać teorii w praktyce więc szybko wyruszyliśmy dalej.



Praktycznie przez cały Kazachstan jedziemy bardzo dobrej jakości drogą dzięki czemu rzadko schodzimy poniżej 120km/h.

Zastanawia nas tylko jedno: Po jaką cholere robi się zakręty w środku stepu?

Przed Atyrau myjemy się w jakimś jeziorku. Mnie od pełnego zanurzenia odstrasza wylot rury, która to najwyraźniej odprowadza do jeziorka jakieś substancje. Bartek jest mniej krytyczny i włązi cały do wody. Na szczęście moje obawy okazały się bezzasadne. Wyszedł chłopak z wody, rażno strzepał wodę z chitynowego pancerzyka i podreptał wesoło przez wykopaną norkę do motocykla.



W Atyrau wymieniamy kasę, odpowiadamy 1000 razy na standardowy zestaw pytań:

Kuda, od kuda, skolko stojat, kakaja skorost, skolko na 100 itd. Itp.

I jedziemy na Kulsary.

Tutaj też wszyscy powtarzają, że musimy uważać w Uzbekistanie bo wszyscy chcą łapówek i ogólnie Uzbegy to szuje i kanalie.



Z Kulsary jedziemy na Beyneu nową drogą, na której jesteśmy praktycznie tylko my, wielbłądy, step i od czasu do czasu jakaś ciężarówka



W Beyneu jemy, tankujemy na zapas do kanistrów i jedziemy 80 km. Do Uzbeckiej granicy, którą mamy przekroczyć w środku niczego. Te 80 km to na przemian dziury, dziury z resztką asfaltu, żwir, tarka i błoto. (na zdjęciach najładniejszy odcinek gdzie nie było dziur)





Wolno jechać się nie da bo wypadają plomby w zębach a szybko strach. Wot dylemat. Jedziemy ok. 80km/h dzięki czemu drgania łagodnieją i przed zmierzchem meldujemy się na granicy.



Granica to kawał rozjeżdżonego błota z kilkoma barakami. Postanawiamy przekimać przed granicą w stepie, żeby nie tracić czasu z 72 godzinnej uzbeckiej wizy.

Dzień ósmy



Rano przy dość parszywej pogodzie zajeżdżamy na granicę gdzie wita na taki oto widok. Przed autobusem w błocie w dwu szeregu stoją milczący pasażerowie a przed nimi paląc papierosa leniwie spaceruje strażnik z kałachem wiszącym na ramieniu. W swej chorej wyobraźni zastanawiam się, czy zdołamy uciec w momencie kiedy zacznie się egzekucja pasażerów.

Egzekucja jednak się nie odbyła (przynajmniej podczas naszego tam pobytu) wobec tego podjechaliśmy do odprawy. Młody pogranicznik jakoś nie czuje bijącego od nas ducha przygody (dzięki Bogu nie czuje też bijącego od nas ducha „niewidziałemmydłaijestemz tegodumny”) i twierdzi, że dalece przyjemniejsze jest leżenie z czajem przed telewizorem. Nie komentujemy tej jawnej ignorancji i po załatwieniu formalności jedziemy do Uzbeków. Zanim jednak to uczyniliśmy odbyliśmy pogawędkę z pewnym Uzbekiem, który to podjechał na granicę Transitem na.... Nowosądeckich blachach.

A teraz drodzy Państwo wkraczamy Kafkowski świat.

Miejsce akcji:

Głęboki step. Pośrodku błotnistej mazi stoi 5 blaszanych baraków, pomiędzy którymi drepta kilkanaście osób, każdy trzymając kurczowo w ręce przynajmniej jeden urzędowy druk.

- Dzień dobry

- Dobry. Paszporty proszę. No tak w zasadzie wszystko w porządku, lecz aby mogli panowie wjechać do kraju U należy przejść wnikliwe badania lekarskie, gdyż jak panowie zapewne wiedzą niewidzialne gołym okiem mikroby mogą siał ogromne spustoszenie wśród narodu U a na to nasz troskliwy rząd pozwolić sobie nie może. Więc rozumieją panowie, że nasza sprawna służba medyczna musi poddać panów wnikliwym badaniom na obecność chorobotwórczych dro-bno-ust-ro-jów. Proszę oto druk urzędowy, którego, Ostrzegam! Należy strzec jak oka w głowie. Z tym oto drukiem proszę skierować się do drugiego budynku na prawo, gdzie odbędzie się badanie lekarskie. A i B wzięwszy druk od urzędnika 1 posłusznie zapukali do drzwi służby medycznej i po usłyszeniu dobiegającego zza drzwi przyzwolenia weszli do środka. W na wpół zaciemnionym pomieszczeniu za starym drewnianym biurkiem w oparach tytoniowego dymu siedział Naczelny lekarz. - Dzień dobry, pierwszy odezwał się B zakłócając tym samym nabożną ciszę należną temu miejscu. W odpowiedzi rozległ się pełny powagi i autorytetu pomruk po którym ponownie zaległa cisza przerywana tylko, ordynarnym w tych warunkach bzyczeniem muchy. Druki są? Rozległo się po chwili zza dymnej zasłony.

A i B posłusznie podali otrzymane formularze.

Tak hmmm tak tak...w rzeczy samej – Naczelny lekarz prowadził ze sobą naukową dysputę w sprawie stojących przed nim przypadków. Tym czasem ukryta głęboko w ścianach skomplikowana aparatura medyczna musiała przeświecić na wskroś A i B gdyż naczelny lekarz nie tracąc czasu na rozmowę z pacjentami, którzy i tak nie pojęliby zawichości medycyny Przybił na dostarczonych formularzach swą medyczną pieczęć.

Budynek nr 1 – rzucił krótko na koniec naczelny lekarz, po czym ponownie rozmył się wśród dymu A i B skłoniwszy się pełni szacunku dla tej instytucji wyszli z gabinetu w poszukiwaniu budynku nr 1. W budynku nr 1. Zapracowany urzędnik niższego stopnia wręczył im po egzemplarzu kolejnego ważnego druku kierując ich od razu do okienka znajdującego się w nieoznaczonym budynku, w którym znajdował się kserograf. Kserograf jako szalenie skomplikowana maszyna wymaga osobnego budynku, w którym może przebywać tylko wykwalifikowany personel uprawniony do jego obsługi. Budynek kserografu dobrze strzeżony ze względu na swą zawartość pełni także funkcję kantora wymiany walut. Przez wąskie okienko w budynku kserografu A i B wsunęli otrzymane druki wraz z paszportami. Z głębi rozległ się szum świadczący o rozruchu maszynierii i po

dłuższej chwili z okienka wysunęła się ręka obsługi ze świeżo wykonanymi kopiami dokumentów.

Płacąc ustaloną sumę za wykonanie kopii oraz za podpis na druku A i B powrócili do budynku nr 1.

Zpracowany urzędnik przejrzał dokładnie przyniesione druki. Wiedział, że druki te trafią za chwilę do najważniejszego urzędnika z budynku nr 2 więc nie mógł pozwolić sobie na przeoczenie jakiegokolwiek pomyłki w wypełnionym przez A i B formularzu. Budynek nr 2 mieścił w sobie tylko jeden gabinet. Gabinet urzędnika najwyższej rangi obsługującego Pieczęć. Już pierwsze spojrzenie na urzędnika uświadamiało, że jest to człowiek cieszący się ogromnym autorytetem pozostałych urzędników. Potężny ten człowiek z sumiastym wąsem zasiadał za wielkim biurkiem, które oprócz fotela stanowił jedyne wyposażenie biura. Najwyższy urzędnik łaskawie skinął głową w kierunku A i B przyzwalając tym samym na podejście do biurka. A i B delikatnie położyli na biurku urzędowe formularze. Najwyższy urzędnik otworzył powoli szufladę biurka skąd bardzo ostrożnie wyciągnął wielki stempel, atrybut jego stanowiska. Z namaszczeniem położył stempel na gąbce, świeżo nasączonej tuszem po czym z nieukrywana dumą przyłożył stempel do druków. - Budynek nr 3. Powiedział łagodnie najwyższy urzędnik, z satysfakcją przyglądając się idealnemu odciskowi pieczęci na formularzach.

W budynku nr 3. Za wielką księgą zasiadał starszy urzędnik obok, którego za zydelku przysiadł młody urzędnik uczący się fachu od bardziej doświadczonego kolegi. Praktykant ten miał przed sobą mniejszy zeszyt, w którym zapisywał skrupulatnie wszystko co podyktował mu jego mentor. A i B wręczywszy starszemu urzędnikowi dokumenty cierpliwie czekali aż młody urzędnik staranną kaligrafią wpisze w zeszyt wszelkie dane dotyczące A i B. Nierozważnie myśląc, że to już wszystkie formalności A i B skierowali się w kierunku motocykli lecz szybko zostali poinformowani przez wstrząśniętego takim zaniedbaniem urzędnika o konieczności udania się do jeszcze jednego budynku w celu dopełnienia ostatniej formalności.

Naprawiwszy swój karygodny błąd A i B zasiedli na motocykle. Ujechawszy 10 m zostali ponownie zatrzymani przez urzędnika zajmującego się przeszukiwaniem bagaży na wypadek prób przemytu towarów zakazanych w kraju U. Po dokładnym przeszukaniu bagaży, urzędnik wręczył po małym druczku, który to druczek został odebrany przez kolejnego urzędnika stojącego na straży szlabanu. Tym samym A i B zawitali do kraju U.

Podczas całego tego cyrku ponownie spotkaliśmy się z ekipą Central Azja Team z Drawska.

Tym razem było o wiele więcej czasu na rozmowy. Niestety nas gonił termin wizy tranzytowej oni natomiast mieli tygodniową wizę turystyczną więc pożegnaliśmy się przy baraku nr. 3 po czym ruszyliśmy w drogę.

Przed wyruszeniem wymieniliśmy jeszcze pieniądze w granicznym kantorze. To dopiero był interes. Za 1 banknot 100 dolarowy dostaliśmy 2 grube pliki banknotów. Łącznie 180 000 sommoni przy czym najwyższy nominał to 1000 sommoni. Czując się niezwykle ważni ruszyliśmy dziarsko aby szastać kasą jak na prawdziwych krezusów przystało.



Ciężkie jest życie lokalnego dzianego macho bo oto przed nami droga do Nukus wzdłuż linii klejowej. Na mapie wygląda to mniej więcej tak. Nic nic, granica, nic, nic, nic, tak jakby coś..ale gdzie tam.. nic. Nic,nic Nukus. O dziwo tuż za granicą wita nas nowiutki asfalt. Niestety radość ze 120 km/h trwa jakies 5 kilometrów, po których wjeżdżamy w piękne błoto.



Niewesoło. Przed nami kupa kilometrów, mało czasu a jechać się za bardzo nie da bo motocykle tańczą na błocie aż miło. Przebijamy się na żwirowe pobocze i przez jakiś czas jedzie się całkiem dobrze. Niestety po czasie na poboczu pojawiają się zwały żwiru przygotowanego budowy drogi. Przez pewien czas jakoś je omijamy lecz robi się to niebezpieczne gdyż kupy żwiru zasłaniają prawie całe pobocze a wąski przejazd jest tuż nad głębokim rowem. Chcąc nie chcąc wracamy w błoto.



Na szczęście po chwili robi się troszkę lepiej więc troszkę przyspieszamy. Po 20 km asfalt, który znów kończy się po 5 km błotem. Po czym znów asfalt i znów błoto. I tak jedziemy sobie radośnie drogą prostą jak drut. Tym samym dowiadujemy się po co robi się zakręty w stepie. Gdyby nie dziury byłaby spora szansa na zaśnięcie z nudów więc może to celowy zabieg drogowy hmmm.. w każdym Razie tutaj postawiono na dziury jako budzik. Pierwszy zakręt pokonaliśmy z dreszczykiem emocji po przejechaniu 233 km w linii prostej. Krajobraz, może ze względu na niedawny deszcz dość paskudny i ponury.



Zatrzymujemy się w przydrożnym barze szczerze zdziwieni jego obecnością na tym kompletnym odludziu.



Jemy sobie płow, kiedy pod bar podjeżdża nexia wypchana młodymi Uzbekami. W ten sposób poznajemy Żorę. Żora jest kierowcą przewożącym pracowników z Szoczi do Nukus. Facet jest nadpobudliwy. Przez 5 minut nie usiedzi w miejscu. Biega, coś tam krzyczy, siada, je, krzyczy, biegnie, przebiera się, krzyczy. Albert !! Bartek!!! Gdzie jedziecieeee ?????!!! - do Chiwy. Charaszo!!!! Ja z Chiwy!!!! Pojedziecie za mną skrótem!!!! 140 motory pójdą????!!! - No pójdą ale tu strach więc może 120? – piszczymy. 120!!! Charaszo!!!! Dolewamy benzyny z kanistrów siadamy na motocykle po czym zobaczyliśmy chmurę dymu spod nexii i tyle Żorę widzieli. Ciśniemy na ile odwaga pozwala ale gdzie tam, Żora już w nadświetlnej.

Na szczęście jedziemy już asfalto-dziurą więc tempo nawet nieźle.

Po ok. 20 km widzimy rajdową nexię stojącą na poboczu a załogę grzebiącą w bagażniku. Albert!!!! Bartek!!!! Wsio charrrrrraszo!!!!!! Jedźcie dalej!!!! Dogonię was!!!! No w to to akurat ani przez moment nie wątpimy.

Krajobraz się zmienia. Błotnisty step przechodzi w półpustynie.



W pewnym momencie po lewej stronie zauważamy dolinę. Zgodnie z mapą jest to ślad po wysychającym morzu aralskim. W dali na horyzoncie widzimy jakieś wysokie budynki.

Wyglądają jak nowoczesne drapacze chmur, które kiedyś były z widokiem na morze. No i kup sobie człowieku drogi apartament nad morzem. Echhh..



Okazuje się, że drapacze chmur to opuszczona fabryka. Zajeżdżamy na stację benzynową. Obrazek jak z postnuklearnych wizji. Pustynia, stary wskazówkowy dystrybutor, obok którego na sznurku wisi czaszka psa czy podobnego stworu. Martwa cisza przerywana tylko skrzypieniem zardzewiałej bramy poruszanej wiatrem. Gdy kończymy tankowanie. W chmurze pyłu na pełnej lufie mija nas Żora. Tak jest zajęty rozwijaniem prędkości (a może akurat biega po samochodzie), że nas nie zauważa i po chwili znika za horyzontem. Po krótkim odcinku kończy się asfalt a zaczyna piękny szuter. Do tego wiatr zawiewa piaskiem z wydm na drogę tworząc piaskowe smugi. Napawamy się tym odcinkiem czując się jak na rajdzie Berlin – Samarkanda.



Jadę za Bartkiem. W pewnym momencie widzę kamień wielkości dużej śliwki wylatujący w zwolnionym tempie spod tylnego koła Afryki Bartka. Z tępym zainteresowaniem podziwiam piękną paraboliczną trajektorię lotu kamienia, który nie doczekawszy się uniku z mojej strony wali prosto w szybę kasku. Uvex enduro po raz pierwszy na tym wyjeździe udowadnia swą pancerność.



Dojeżdżamy do Nukus gdzie zaczyna się zieleń oraz wschodnia architektura. Oczarował nas cmentarz



W Nukus starym zwyczajem bładzimy przez co prawie wjeżdżamy do Turkmenistanu, kiedy w końcu trafiamy na właściwą drogę w kierunku na Chiwę zapada już zmrok. Po drodze jemy przepysznego amura i powoli rozglądamy się za miejscem na rozbicie namiotów. Przejeżdżamy przez most pontonowy na Amu darji po czym zjeżdżamy nad wodę poszukać noclegu. Wjeżdżamy w jakieś mało przyjemne miejsce. Podczas odwrotu Bartek chcąc sprawdzić jedno miejsce zjeżdża nad wodę zakopując się całkowicie w piachu przy próbie wyjazdu pod górę. Jest późno, jesteśmy zmęczeni a tu trzeba wypychać to bydle. Po pierwszej próbie nażarłem się piachu i ogólnie bardziej przypominałem piaskowego dziadka niż hmm...mnie.



Druga próba w postaci wzięcia na hol skończyła się urwanie holu i paniczną obroną przed lotem drugiej Afryki do rowu.

Trzecia próba w formie odkopania i zepchnięcia Afryki aby ponownie zaatakować z rozbiegu zakończyła się w końcu sukcesem. Podczas dalszej drogi na Chiwę podejmujemy kolejną rozpaczliwą próbę znalezienia biwaku spełniającego nasze a ę wymagania. Wjeżdżamy w jakieś sady.

Na dzień dobry przepychamy Motocykle przez rów wykopany w poprzek drogi przy okazji kładąc jedną Afrykę a następnie wjeżdżamy w jakąś dziwną okolice z opuszczonymi domami. Przy okazji dzienny dystans złowieszczo pokazuje 666 kilometrów. Spluwamy szybko przez lewe ramię... następnym razem stanę trochę bardziej z boku za Bartkiem. Śpiewamy od tyłu coś z repertuaru Wioletty Villas i uciekamy na asfalt.

I tak właśnie szukając noclegu dojechaliśmy do Chiwy a że była 2 w nocy to nawet nie protestowaliśmy gdy zatrzymała się koło nas taxówka z wesołymi Paniami każącymi jechać za sobą. Jak się jednak okazało wyciągana na prędcę brylantyna do włosów i sygnety okazały się zbędne bo Panie były pracownicami hotelu. Nie mając już siły na nic, zapłaciliśmy 20 \$ za dwóch i poczłapaliśmy do pokoju. Pokój nas onieśmielił swą czystą pościelą, klimatyzacją, jednorazowymi szczoteczkami do zębów, mydłem, pastą do zębów itp. Do tego sprawił, że nasz poziom twardzielstwa dramatycznie poleciał na pysk.

Chlipiąc cichutko zasnęliśmy wtuleni w czystą poduszczkę.

Dzień dziewiąty

Okazuje się, że w cenę pokoju wliczono także śniadanie. Schodzimy proszę ja was da stołówki a tam nie stołówka tylko sala balowa.



Oprócz nas śniada tylko jedna osoba. Śniadanie całkiem ok., jednak jestem zbulwersowany brakiem srebrnej zastawy. Przecież nie od dziś wiadomo, że srebro wspaniale podkreśla smak. Doprawdy barbarzyński kraj.



Po śniadaniu biegniemy zwiedzać miasto.



Chiwa nas zachwyca. Otoczone murami stare miasto kryje w sobie przepiękne zabytki, wąskie uliczki a przede wszystkim świetny klimat.



Na szczęście jest bardzo mało turystów, dzięki czemu czujemy się jak w normalnym mieście a nie skansenie. Łazimy, pstrykamy zdjęcia, zagadujemy z miejscowymi i ogólnie chłoniemy klimat.





Niesamowitą sprawą są uliczne studia fotograficzne, gdzie można przypoznać za szejtę wśród plastikowych kwiatów, na tronie wśród plastikowych kwiatów, przy niesłychanie groźnym plastikowym tygrysie już bez kwiatów itp. itd.



Uzbecy bardzo chętnie pozują do zdjęć nawet bez tygrysa. Poproszeni, zawsze o chętnie prężyli się do zdjęcia.



Uzbecy okazują się niesamowicie sympatycznymi ludźmi. Zarówno w Chiwie jak i w każdym innym miejscu jakie mieliśmy okazję zobaczyć. Pomimo tych wszystkich ostrzeżeń w innych krajach obywatele Uzbekistanu pozostali w naszej pamięci jako najserdeczniejszy naród na naszej trasie.

Najchętniej zostalibyśmy tutaj dłużej a przynajmniej na wieczór ale niestety czas nas goni i trzeba ruszać. Żegnamy się z Chiwą i jedziemy w kierunku Buhary. Jedziemy wśród zieleni, przy drodze kwitnie handel arbuzami, winogronami i wszelkimi innymi dobrami. W ogóle nie wiedzieć czemu przypomina mi się Krym.. jakiś taki podobny klimat. No i tak szczerzę się do otaczającego świata dopóki w gębie nie lądują mi flaki wielkiej ważki, której truchło smętnie spoczęło na szybie kasku. Domykam szybę co oszczędza mi dalszych degustacji a żarcia co niemiara dookoła. Nie wiem czy to plaga czy normalna sprawa ale w powietrzu latają tysiące ważek.



Jednocześnie stwierdzamy, że Uzbekistan pała ogromnym uczuciem do Deawoo, a zwłaszcza do rajdowych wersji wszelkich modeli tej marki. Zwłaszcza szybkie niczym wiatr TICO z dodatkowymi spojlerami nie dają nam najmniejszej szansy na drodze.

Znów wyjeżdżamy na pustynie co jakiś czas zatrzymując się tylko przy licznych postach kontrolnych, na których standardowo leci seria: kuda?, skolko itp.





Jedziemy wzdłuż wielkiej Amu-darji, będącą jednocześnie rzeką graniczną z Turkmenistanem.



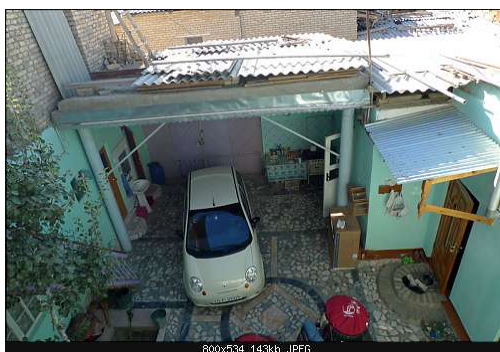
W zaistniałej sytuacji w przydrożnym barze wpięprzamy po raz kolejny genialnego Amura.



Bar prowadzi bardzo sympatyczna rodzina z fajnymi dzieciakami, z których jeden, o wyglądzie buddy rozwalił nas zupełnie swym nieporuszeniem na czynniki zewnętrzne.



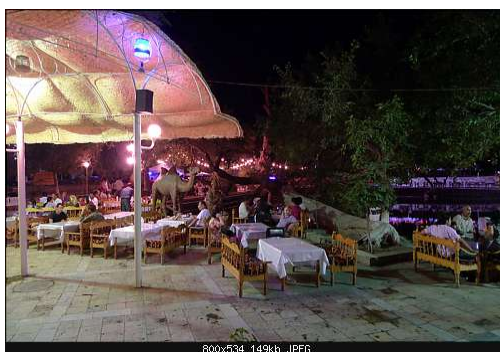
W Buharze z powodu braku oznakowania przez ponad godzinę szukamy starówki. Są za to znaki zakazujące jazdy na motocyklach. Jak się później dowiedzieliśmy władza zakazała posiadania motocykli bo się chłopaki zabijali na potęgę. „Szumacherów u nas mnogo” refleksyjnie skwitował nasz rozmówca. W przeciwieństwie do małej Chiwy, Buhara to duże miasto więc krążymy trochę bez sensu. W końcu dojeżdżamy, pytamy o nocleg i po 10 minutach już wjeżdżamy na podwórko rodziny zapytanego.



Przebieramy się w cywilne ciuchy i już po ciemku idziemy zwiedzać. Fajny klimat, lecz to już pełna komercja z kupą turystów z Włoch czy Niemiec.



Po zwiedzaniu zasiadamy w jednej z wielu knajp pod otwartym niebem aby w końcu wyzwolić tłumioną od granicy potrzebę szastania kasą.



Kładziemy się przy stole jak należy. Zamawiamy baranie szaszłyki, sałatki, butlę lokalnego wina coś tam jeszcze a na deser faję wodną. Pięknie no po prostu pięknie a jedzenie i wino rewelacyjne.



Panowie prezesi proszą o rachunek, szykują te pliki mamony, patrząc z wyniosłą pogardą na innych.... No jakby nam w pysk dali... co za kraj jak pragnę zdrowia. Za tą kasę co widnieje na rachunku w Polsce to schabowego na spółę byśmy dostali... bez kapusty.

Pokonani wleczeni się do łóżek....

Dzień dziesiąty

Dziś mkniemy AUTOSTRADĄ do Samarkandy! No dobrze. Może parę dziur jest ale na naszej A4 nie takie rzeczy się dzieją i to za grubą kase. Niezrażeni dziarsko ciśniemy naprzód.

No i co z tego, że przebiega przez wsie bez żadnego odgrózenia od wiejskiego pobocza? I w zasadzie co w tym niezwykłego, że jeden pas na odcinku 500m dzisiaj akurat jest targiem a drugi jest miejscem pogaduszek? No i tego pana stojącego w poprzek ładą też bym nie potępił. W końcu zakupionych arbuźów nie będzie chłopina dźwigał Bóg wie gdzie? A że inny jedzie na wózku ciągniętym przez osiołka? W końcu prawy pas jest do powolnej jazdy.

Troszkę zaniepokoiła nas łada jadącą prawym pasem pod prąd no ale przecież nie wszystko trzeba rozumieć. Sytuacja na autostradzie zupełnie nie dziwiła natomiast kierowców dalekobieżnych autobusów. Kilkanaście ton, 120km/h i klakson to dość niegłupie argumenty w dyskusji na temat pierwszeństwa. Autostrada jak to autostrada, szybko doprowadziła nas do Samarkandy.

Zanim jednak dane było nam rozkoszować się zabytkami Samarkandy przeżyłem pierwszy zawał na tym wyjeździe. Na Jednym z postów po udzieleniu odpowiedzi na zestaw pytań standardowych o cenę, szybkość i markę, jeden z policjantów wyższych rangą zasiada na mojej Afryce. Pozuje kolegom do zdjęć coś tam się wierci aż w końcu prosi żeby zapalić moto. Nie podejrzewając niecznych planów odpalam Afri a ten jedynka, gaz i dawaaaaaaj poszedł w świat. Jak tylko Bartek doprowadził mnie prądem z akumulatora do świadomości zacząłem kombinować jaki pekaes powinienem złapać aby dostać się do Polski i jak właściwie przetransportować połamany motocykl. Ku mej niepojętej uldze policjant po chwili wrócił a żeby mnie dobić manewrował na placu lepiej ode mnie.....

Za względu na rozpoczynający się międzynarodowy festiwal muzyczny, wszystkie drogi prowadzące do głównych zabytków zostały zamknięte. Zostawiamy motocykle przy policjancie blokującym drogę i biegniemy zwiedzać.



Pięknie ale podobnie jak w Bucharze tak i tutaj pełna komercja. Robimy zdjęcia, zwiedzamy bazar i jedziemy pod mauzoleum Tamerlana.



Tam też haltuje nas policja i każe się wynosić. My jednak nie odpuszczamy i coś tam gładzimy, że musimy, że wiza się kończy, że daleka podróż aż w końcu panowie wymiękają.

Nie możemy zostawić jednak motocykli przed mauzoleum, więc prowadzą nas do pobliskiej bramy. Za brama jak się okazuje też siedzi kilku policjantów popijających

herbatkę. Grzecznie pokazują miejsce gdzie możemy postawić motocykle i puszcza ją na zwiedzanie.



W szale zwiedzania zupełnie niechcący weszliśmy tylnym wejściem do samego mauzoleum, kilka fot i idziemy do wyjścia a w tym przypadku głównego wejścia. Okazało się, że w zasadzie to powinniśmy kupić bilety, jednak widok pani bileterki tnącej komara leżąc twarzą w biletach, odwozi nas od tego zamiaru. Nie godzi się budzić. Niech śpi niebożątko.



Następnym postojem jeśli nie liczyć przerwy obiadowej z dzieckiem gumą w roli głównej jest już granica.

Standardowo wypełniamy deklarację i już mamy podchodzić do stołu z urzędasem właściwym gdy zaczepia nas inny, ogląda deklarację i każe nam wpisać ile kasy mamy przy sobie. Zamiast go olać w jakimś tępym widzie wpisujemy kilka dolarów i jakieś ruble co zostały z Rosji. I to był błąd.

- Panowie drodzy a co to za pieniądze?
- aaa no tak nam zostało troszkę.
- Nooo jak? Przecież na wjeździe deklarowaliście, że nic nie macie. Złamaliście prawo!!!!

- A no to dej Pan ten papier i za chwilę będzie papier właściwy – Z bananem na gębie staram się zabrać urzędasowi deklaracje i wypisać nowe już bez wpisanej kasy.
- Jak to Nie Izja!! Przestępstwo!! Widać po facecie, że nie chodzi mu o łapówkę a raczej chce pokazać władzę lub po prostu z nami pogrywa. Podchodzimy do tego przypadku psychologicznie

Podejście nr 1. Na bidnego leszcza

- ojej no to co robić ojej ej?
- Wracać na granicę gdzie wjeżdżaliście i wypełnić jeszcze raz deklarację.
- ojej ej

Podejście nr 2. Na połączoną próżność czyli przedstawienie urzędnika jako wyroczeni, jedynej i ostatecznej władzy.

- No ale jak to tak? Wasz urzędnik na wjeździe powiedział, żeby nic nie wpisywać więc my go grzecznie posłuchaliśmy.
- przecie jest napisane jak byk na deklaracji, że należy wpisać co się ma!!!
- no niby jest ale skoro URZĘDNIK mówi, że nie trzeba to my słuchamy URZĘDNIKA a nie jakiś tam papierków. Całą nadzieję, wiarę i miłość pokładamy w URZĘDNIKU
- napisane jest, że nie wolno!!!

Podejście nr 3. Na kompleksy wobec sąsiadów

- No wiecie co.....? Przejechaliśmy tyle granic i nikt nam nie robił problemów NAWET Kazachowie a WY takie sceny urządzaście.. aj aj aj.

Podejście nr 4. Na: No to proszę bardzo, zostajemy tutaj z wami i mamy to w głębokiej dupie fiu fiu fiu

Podejście nr 4 okazało się na tyle skuteczne, że po chwili prowadziliśmy już towarzyską rozmowę o dalszych naszych planach. Urzędnik i jego kumpel okazali się w gruncie rzeczy całkiem fajnymi ludźmi, zwłaszcza kiedy nie mogli wyjść z podziwu, gdy dowiedzieli się, że trasę Granica – Chiwa pokonaliśmy w 1 dzień. Nie wiedzieć czemu z dość sporą drwiną, czy raczej z tonem jakim mówi się o ciężkich przypadkach psychiatrycznych wypowiadali się o rowerzystach i turystach pieszych. Tak sobie jeszcze chwilkę pogadaliśmy, po czym w pełnej zgodzie pożegnaliśmy i zajechaliśmy pod posterunek Tadżycki.

Tutaj wszystko poszło w tempie ekspresowym. Bardzo uprzejmy dowódca, wypisał nam Strachówkę czy coś tam innego, skasował za to 30 \$ pokazując przy tym z 10 razy urzędową księgę chcąc nam koniecznie udowodnić, że jest to opłata jak najbardziej legalna. Trochę śmieszna sprawa. Zapłaciliśmy mu te 30\$ zaraz po tym jak nauczonym doświadczeniem, zaklinaliśmy się na wszelkie świętości, że nie wwozimy ani jednego dolara i wszystko bierzemy z bankomatów. Cała ta operacja nie zrobiła najmniejszego wrażenia na komendancie, który pożegnał się z nami miło doradzając przy okazji, żebyśmy skrócili sobie drogę do Duszanbe przez nieczynny tunel, przekupując strażnika pięcioma dolarami, których przecież nie mamy.

W pierwszej wsi czujemy się jak z gazetek dostarczanych przez świadków Jehowy. Wszyscy do nas machają, uśmiechają się. Jest tak ckliwie, że jeszcze brakuje dzieci głaszczących radosnego lwa jak to miało miejsce na obrazkach w w/w publikacjach. Kończy się asfalt i zaczynają góry. Miła odmiana po płaskich krajobrazach w jakich nam było dane poruszać się do tej pory. Pniemy się w górę przy zapadającym zmroku. Gdy zapada noc wjeżdżamy w pole nieopodal wioski i po nieudanych próbach rozpalenia kuchenki idziemy spać pod niebem Tadżykistanu. (W zasadzie pomiędzy nami a niebem Tadżykistanu znalazły się jeszcze 2 warstwy namiotu, no ale to już nieistotne detale)

Dzień jedenasty

Budzą nas głosy. W odróżnieniu od głosów, które codziennie nakazują mi zabijać w imię szatana te należą do dzieci z pobliskiej wsi.



To jest ciekawe w Tadżykistanie. Choćbyś się zakopał 5 metrów pod ziemią i wyrzucił łopatę to nad ranem okaże się, że siedzi obok ciebie dziecko z przynajmniej jednym kumplem.



Zbieramy tobołki i wjeżdżamy na drogę do Duszanbe. Pewne nazwy są dla mnie magiczne. Mają w sobie jakiś niesamowity magnetyzm. Zawsze fascynował mnie Bakczysaraj czy Ajudah. Podobnie było z Damaszkiem i wieloma innymi miejscami czy zjawiskami typu zorza polarna. Niesamowicie magicznie brzmi dla mnie też Tajga. Widzę je oczyma wyobraźni, gdzie mieszkają się bajki z dzieciństwa, opowieści, legendy fragmenty filmów czy książek podróżniczych. Pomimo, że w rzeczywistości miejsca te często dalece odbiegają od tych wyobrażeń to magia nazwy pozostaje. Podobnie magicznie brzmiała od zawsze dla mnie „droga do Duszanbe” i właśnie teraz, siedząc na motocyklu jedziemy po niczym innym jak po drodze do Duszanbe.



Droga nas zachwyca. Pniemy się w górę. Pod nami rzeka a nad nami góry. Droga to w zasadzie szuter i kamienie więc tempo raczej nie porywa ale gdzie tu się spieszyć skoro widoki urywają dupę?



Robimy sobie przerwę w miejscu gdzie woda spływa po skałach z gór. Nabieramy wody, jemy arbuza, gapimy się widoki i moczymy nogi w strumyku.





Po jakimś czasie dojeżdżamy do zamkniętej drogi prowadzącej do tunelu, mającym nam skrócić drogę. Przed szlabanem miejscowi potwierdzają, że należy strażnika przekupić to puści. Bartek bierze 5\$ i idzie negocjować. Widzę z daleka, że strażnik oporny. Podchodzę i już we dwóch negocjujemy. Bidny strażnik jako jedyny chyba nie wiedział o tym, że jest przekupny. Poci się, mówi, że nie wolno za prikaz prezydenta, że jak go złapią to będzie miał przerąbane. Widać, że naprawdę nie chce nas puścić. Mówi o wodzie, która zalała tunel, że niebezpiecznie. Zaczynamy wątpić, że się uda ale z pomocą przychodzi jeden z miejscowych i coś strażnikowi tłumaczy. W końcu biedny strażnik bierze te 5\$ i bardzo niechętnie nas puszcza prosząc, że jakby co to nie tędy jechaliśmy.

Po kilku kilometrach wspinaczki podjeżdżamy do wlotu tunelu. Z przejściem wjeżdżamy do tej jaskini smoka... po czym po minucie wyjeżdżamy zde gustowani z drugiej strony. Co to miało być? O to cały ten cyrk? Tunel pod rondem grunwaldzkim dostarcza bardziej ekstremalnych przeżyć. Jedziemy dalej co chwilę robiąc foto-stop.



Jedziemy, jedziemy a tu nagle wyrastają przed nami 2 wielkie zięjące chłodem wjazdy do tunelu. Acha, no tak, więc to takie buty. Tunel ma ok. 5km długości rozciągniętych na wysokości 2670m. Powoli wjeżdżamy w ciemność.



Zimno, ciemno, droga zalana wodą a do tego jeszcze woda lejąca się z sufitu. Za plecami znika światło na wjeździe a przed nami w oddali majaczy światełko na wylocie. Światełko na wylocie okazało się gazem jądącym z przeciwka. Kiedy nas minął przed nami pozostała tylko czarna otchłań. Jedziemy powoli omijając co głębsze kałuże i rowy. Przy końcu tunelu trzeba zjechać w boczny korytarz wykuty w skale. Tunel co prawda też jest wykuty w skale, jednak ten korytarz nie ma obudowanych ścian betonem przez co czujemy się jak w jaskini.

Zanim tam wjechaliśmy, przez dłuższy czas obserwowaliśmy walkę załogi kamaza, który utknął na wjeździe.



Kamaz zahaczył paką o wielki kabel wiszący u sufitu przez co nie mógł ani się cofnąć ani pojechać w przód. W końcu uwolnili się od kabla a my jaskiniowym objazdem wydostaliśmy się na zewnątrz.



Od tego momentu jedziemy chińskim placem budowy. Na całym odcinku do Duszanbe dzielne żółte ludziki budują drogę i tunele.



Na kilkanaście kilometrów przed Duszanbe zaczyna się nowiutki asfalt. Cieszymy się jak idioci z każdego zakrętu i większego przechyłu motocykla. Tak się pierwszorzędnie bawimy, że po chwili lądujemy w Duszanbe.



Ale jak to tak? A gdzie mała wioseczka zagubiona wśród szczytów? Gdzie osiołki i ludzie w tradycyjnych strojach? Gdzie, ja się pytam te stada owiec pasących się na głównym placu miasta.

Zamiast tego wjeżdżamy do nowoczesnego wielkiego miasta o szerokich 2 pasmowych drogach w każdą stronę. Człek niestety w pewnych sprawach jest ignorantem. Podobnie wyobrażałem sobie Khatmandu, które okazało się jeszcze większym miastem położonym na wysokości Zakopanego.



Od razu szukamy urzędu gdzie możemy dostać pozwolenia na wjazd do GBAO (w sensie w Pamir). Podjeżdżamy pod adres wskazany przez gościa na granicy i w efekcie lądujemy pod pałacem prezydenckim.



Prezydent jednak jako człek zapracowany nie znalazł czasu aby wypisać nam pozwolenia więc strażnik kieruje nas do urzędu MWD gdzie się tym ponoć zajmują.

Przebijamy się w korkach przez miasto aby wylądować w dzielnicy gdzie mieszczą się wszystkie ważniejsze instytucje państwowe, w tym ichnie KGB

Niespodzianka. Kto by pomyślał, że to kompletnie nie to MWD, które jest nam potrzebne. Dostajemy kolejny adres urzędu emigracyjnego, który na pewno jest tym właściwym. Po kolejnej rundzie wokół miasta stajemy pod tym „na pewno właściwym, jedynie słusznym urzędem”



Panowie urzędujący nie zostali jednak poinformowani o tym, że są „na pewno właściwym, jedynie słusznym urzędem” i robiąc wielkie oczy kierują nas do OWIR. Jako, że topografia Duszanbe już nam z reki je po kilku minutach meldujemy się pod OWIR’em.

Żeby było śmieszniej OWIR mieści się w bloku z wielkiej płyty, gdzie w parterze znajdują się okienka dla interesantów.

Dodam, że okienka wychodzą za zewnątrz budynku a poczekalnia to ławki pod drzewami. Żeby tradycji stało się zadość podchodzimy najpierw do niewłaściwego okienka. Przy okienku właściwym pani prosi nas o jakieś druczki, które to można dostać w okienku znajdującego się wewnątrz budynku. Wewnątrz budynku wesółą ekipą strażników informuje nas, że owszem, okienko dobre ale dziewczuszki już sobie poszły do domu i że zapraszają jutro. W zanadrzu mamy jeszcze adres agencji turystycznej gdzie podobno też można zdobyć pozwolenie. Szybko wracamy do centrum gdzie wg wskazówek miejscowych docieramy do agencji. W zasadzie o drogę pytamy z czystej formalności ponieważ i tak, niezależnie od tego gdzie się znajdowaliśmy i gdzie chcieliśmy dojechać zawsze brzmiały mniej więcej tak:

Prrriama! Swietafor! Prrrrriama, prrrriama, pieriekroska iiiii prrrrrriaaaaaama!!!

Tak czy inaczej w agencji mile panie informują, że tak, pozwolenia jak najbardziej ale w poniedziałek, bo wtedy właśnie przychodzi pan z pieczątką a poza tym jest już 17 i nic dziś nie załatwimy. Chcąc nie chcąc musimy zostać tutaj na noc. Podjeżdżamy pod największą i najtańszą gostinice w mieście o nazwie WACHSZ mieszcząca się w centrum. Kiedy już mamy się meldować zagaduje do nas koleś prowadzący hotelik, zapewniający, że u niego prześpiemy za 20\$ ze śniadaniem (w gostinicy trochę drożej)

Jedziemy za typem. Po 7 km wściekli wyjeżdżamy na zadupie przy dworcu autobusowym. Hotelik mieści się w podmiejskim domku.

Całkiem fajny klimat, dużo turystów z całego świata (hotelik jest opisany w Lonely planet)

Koleś prowadzi nas do pokoju po czym radośnie oświadcza, że 20 \$ ale od osoby.

Jestem pokojowo nastawionym człkiem ale w tym momencie mam ochotę temu wyżelowanemu pajacowi przypier... w pysk. Wściekli postanawiamy wracać do WACHSZA. Wracając zatrzymujemy się u przydrożnego wulkanizatora gdzie zmieniamy opony. Duszanbe to jednak magiczne miejsce. Na stacji benzynowej baki naszych Afryk cudownie się powiększają przyjmując w siebie o jakieś 4 litry benzyny więcej niż mają pojemności.

Wykończeni idziemy spać.

Dzień dwunasty

O 9.30 nasze szczere oblicza wyrastają przed okienkiem w OWIR'ze. Za 10 sommoni dostajemy druczek, o którym wiemy tylko tyle, że jest on niezbędny do szczęścia Panu w innym okienku.

Jednak sam druczek to tylko połowa spełnienia Pana z okienka. Do pełni szczęścia niezbędny jest druczek z kasy, do której czym prędzej się udaję. Okienka kasowego strzeże Pan, u którego należy kupić za 1 sommona karteczkę uprawniającą chyba do podejścia do kasy. Wypisaną karteczkę Pan strzegący kasy podaje Panu w kasie i w ten sposób już bez przeszkód mogę uiścić 18 sommoni.

Otrzymane potwierdzenie wpłaty wręczam uroczyście panu w okienku właściwym. Pan zbiera do kupy wszystkie papiery, patrzy mi głęboko w oczy i powiada: „Zawtra”

-Jak to zawtra? co też pan, no jak słowo daje!! My musimy dziś w Duszanbe wyjechać! Nam w Pamir nada! Dzisiaj a nie zawtra! Gość dostrzegając naszą desperację, coś tam pomruczał i kazał przyjść za 30 minut.

Po chwili woła mnie do okienka.

W okienku wita mnie sympatyczna pani w mundurze i bez zbędnej gadki rzuca „Zawtra”

Jednak nie wie biedna, że oto stoi przed nią ex-student Politechniki Krakowskiej, który to zęby zjadł na Paniach z dziekanatu a jak wiadomo panie z dziekanatu to elita elit wśród urzędniczek. Nie dając szansy na manewr obronny roztaczam przed Panią kapitan cały mój urok osobisty w wyniku czego omdlewająca kapitan prosi aby przyjść za 4 godziny. Wykorzystujemy ten czas na poszukiwanie mapy Pamiru. Jeździmy po całym mieście ale map ani widu ani słyhu.

W drodze powrotnej samochód jadący przed Bartkiem hamuje, Bartek daje po hamulcach ale założone wczoraj opony uślizgują się i wali facetowi w zderzak, kładąc przy tym Afrykę. Podnosimy motocykl blokując przy tym Główną ulicę. Facet z samochodu jakoś specjalnie się nie przejął zderzakiem, zapytał czy wszystko ok. i pojechał sobie dalej.

Po czterech godzinach wracam do okienka dzierząc czekoladki dla Pani kapitan. Teraz to już jest nasza! Jednak tak czy inaczej mamy wrócić za 2 godziny. Nie mając już mocy walimy Siena trawniku przed OWIR'em i obserwujemy z daleka świat biurokracji. Snujemy domysły dlaczego nie ma jeszcze naczelnika. Za najbardziej prawdopodobną przyczynę

uznaliśmy, to że bardzo gruba Pani naczelnik utknęła w korytarzu wobec czego artylerzyści muszą nagwintować korytarz aby przestrzelić Panią naczelnik do gabinetu. W końcu ok. 17 po 7 godzinach oczekiwania dostajemy upragnioną przepustkę i tyle nas widziano w Duszanbe.



Kierujemy się na przełęcz Khaburabot leżącą na wysokości 3252 m. Po 50 km za Duszanbe kończy się asfalt a my cały czas pniemy się serpentynami w górę.



Po 180km zapada zmrok.



Zjeżdżamy nad rzekę za wioską. Księżyc zbliża się do pełni więc nie potrzebujemy latarek. Wysoko nad nami widać światła ciężarówek wspinających się po serpentynach. Leżymy na trawie i gapiąc się w księżyc pijemy wino.

Dzień trzynasty

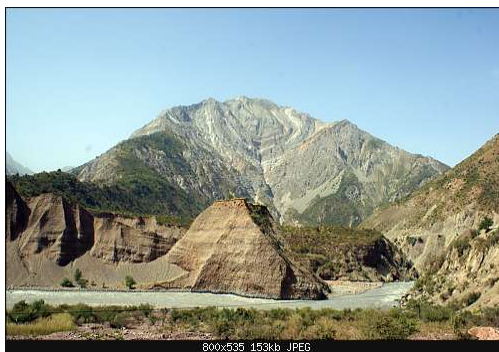
Dziś ciąg dalszy ataku na Khaburabot a potem Rushan.



Cały czas wspinamy się w górę (w przeciwieństwie do wspinania się w dół i cofania do tyłu) po dziurawej drodze. Jazda w takich warunkach jest męcząca ale to co widzimy dookoła rekompensuje każdy wysiłek, aż budzi się dusza poety.

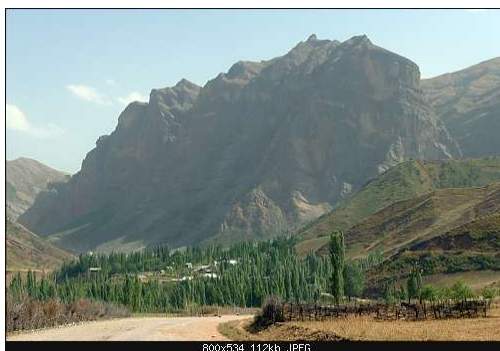
Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!
I patrzę w zachwycie na skały
Na rzekę hen tam w dole
I wołam zachwycony
O kurwa !!
O ja pierdołę!!

Takie właśnie mniej więcej odczucia nam towarzyszyły przez cały pobyt w Tadżykistanie. Czasem tylko zmieniał się ton w jakim wypowiedane były ostatnie dwa wersy.



Po zaliczeniu kolejnej dziury, motocykl zaczyna mi szarpać, i z paskudnym odgłosem tarcia ściągą momentalnie na lewo. Przekonany, że to flak schodzę z Afryki a tu okazuje się, że tylna część błotnika wlaźła pod górną krawędź płyty chroniącej silnik. Zdziwiony tego typu awarią wyciągam błotnik spod płyty i jadę dalej.





Po kolejnej dziurze sytuacja się powtarza. Ponownie wydobywam błotnik, przy okazji zauważając, że z lewej strony urwało się mocowanie błotnika przy śrubie. Naprawiam to prowizorycznie i kontynuujemy jazdę.



Przy okazji postoju na obiad (pyszne mięso, zupa, miska kefiru i ciepła lepioszka) zabieram się za naprawę błotnika. I jak na fachowca inżyniera przystało urywam śrubę. Kleję błotnik taśmą zbrojoną co na pewien czas rozwiązało problem.



Przed nami jedzie stare żiguli, które przy okazji przejazdu przez rzekę zamiast mostu wybrało bród, w efekcie czego utknęło na środku rzeki z woda wlewającą się przez drzwi. Spiesząc na ratunek bohatercko rzucamy się w rwącą rzekę (no rwało mnie troszkę w kolanie wieczorem) Niestety daremny okazał się nasz trud. Żiguli utknęło na dobre

pomiędzy kamieniami. Po chwili podejźdza ekipa w pajero i wspólnymi siłami wypychamy maszynę z wody. Na pamiątkę pozostało nam poczucie dobrze spełnionego obowiązku oraz woda w butach.



Gdy zatrzymaliśmy się przed samą przełęczą aby napawać się niesamowitą panoramą zatrzymuje się koło nas Wypasiona ciężarówka Mercedesa. Wyskakuje z niej Niemiec koło 50. Facet wybrał się na wyprawę z trzema kolegami z czego każdy jedzie swoim samochodem. 2 ciężarówki i 2 land rovery. W ciężarówce jest wszystko.. noo może jacuzzi nie miał ale też nie mogę tego na 100% stwierdzić.





Na samej przełęczy wita nas wojskowy, twierdząc, że zdjęć nie można robić bo to strefa graniczna. Jednak za 10\$ jest w stanie stworzyć świat bez granic. W delikatny sposób prosimy aby się cmoknął i jedziemy 20m dalej, gdzie trzaskamy zdjęcia dowoli.



Zjazd z przełęczy odbywa się po dużo lepszej drodze, więc dość szybko meldujemy się na poście kontrolnym u podnóża góry.



Po dokonaniu formalności siadamy na motocykle. Bartek rusza przodem i po chwili znika za zakrętem. Przekręcam kluczyk, naciskam starter, kontrolki gasną i cisza....

Ponawiam próbę i... cisza. W tym momencie serce zjechało mi wątroby. Moduł padł... a może regulator napięcia... nie mamy zapasu, czyli jestem w dupie. Ani w te ani we w te. Błdy ściagam siedzenie, żeby się dostać do narzędzi i widzę, że plastik trzymający akumulator się odkręcił. Okazało się, że w wyniku braku trzymania akumulator latał sobie swobodnie a co za tym idzie poluzowały się klemy. Takiego uczucia ulgi jak wtedy, nie przeżyłem od bardzo dawna.



Już po ciemku wyjeżdżamy za wieś szukać noclegu. Postanawiamy zjechać nad rzekę nad którą prowadzi wąska kamienista ścieżka. Pierwszy jedzie Bartek. Po ciemku nie zauważył, że dróżka kończy się głębokim piachem. Motocykl zarzuca, Bartek odruchowo podiera się nogą, która dostaje się pod kufry i motocykl całym ciężarem kładzie się na tej nieszczęsnej nodze. Podbiegam do wrzeszczącego z bólu Bartka i podnoszę Afrykę na tyle aby mógł wyciągnąć nogę. Drugie tego dnia niesamowite uczucie ulgi. Noga cała. Rozbijamy namioty i tradycyjnie przed snem żłopimy wino (dziś akurat dość paskudny kagor)

Dzień czternasty

Teraz będzie zdecydowanie więcej zdjęć niż tekstu bo co tu pisać, kiedy obrazy mówią same za siebie

Tradycyjnie budzą nas trochę irytujące dzieci, więc szybko zwijamy się w drogę.



Po drugiej stronie rzeki pojawiają się wioski. Widać ludzi, zwierzęta. Mając świadomość, że to Afganistan odczuwamy delikatny dreszczyk emocji, pomimo tego, że wioski niczym się nie różnią od tych po Tadżyckiej stronie.



Jedyną rzeczą przypominającą o tym, że nie zawsze było tutaj tak spokojnie świadczą znaki ostrzegające o minach.



Z tego co się dowiedzieliśmy nie są to jednak pozostałości po wojnie afgańskiej lecz po tutejszej wojnie domowej.

Zatrzymujemy się przy wraku wozu opancerzonego wysadzonego w powietrze na minie.



Oczywiście robimy zdjęcia, łazimy, oglądamy, wączamy.

Kiedy wracamy na drogę po zaspokojeniu potrzeby taniej sensacji mijają nas miejscowy samochód. Kierowca widząc nas przy wraku robi wielkie oczy i puka się zamaszyście w głowę.

Widząc to nadchodzi nas refleksja, że pole chyba nie do końca zostało rozminowane. Sztywni powoli kroczymy w kierunku drogi czekając na huk i lot w kierunkach wszelakich.

Nie wyleciawszy w powietrze siadamy na Afryki i jedziemy na Rushan co chwilę mijając kolejne znaki z których uśmiecha się (bo w zasadzie nie ma innego wyjścia) czaszka z wymownym podpisem „Danger!! Mines!!



Na skrzyżowaniu dróg jemy obiad z miejscowymi, którzy opowiadają nam troszkę o sąsiedztwie Afganistanu.

Pytają czy tam też jedziemy, bo dla nich to nic nadzwyczajnego. Zapytani o wojnę mówią, że owszem gdzieś tam w głębi w okolicach Kabulu czy w Kandaharze się leją ale tutaj to cisza i spokój.

Przypomniało mi to sytuację w Stambule kiedy to zobaczyłem na ulicy reportera TVN mówiącego z przejściem o planowanych zamachach bombowych. Kiedy zapytałem miejscowego co się dzieje, ten wyśmiał mnie, mówiąc, że zawsze tak jest gdy studenci wracają na studia i żeby wyluzować. Od tamtego czasu zawsze staram się doniesienia w mediach dzielić przez 10.



Po kilku godzinach pięknej drogi dojeżdżamy w końcu do Rushan.







Tam jemy obiad u bardzo miłej rodziny i wjeżdżamy w dolinę Bartang biegnącą przez sam środek Pamiru.



Rozdział trzeci - Mamo! Ja już nie chcę Pamiruuuu.....

Dolina zaczyna się eleganckim równym szutrem. Po dotychczasowych dziurach czujemy się jak na autostradzie, pomimo tego, że w dolinie drogi a raczej droga jest o wiele węższa niż do tej pory.



Po raz kolejny widoki rozkładają nas na łopatki. Droga to pnie się w dół to opada. Momentami droga biegnie praktycznie na poziomie rzeki, która miejscami wcina się w drogę.

Początkowo wjeżdżamy w te miejsca niepewni czy to tylko kałuża czy może głęboka dziura wyrwana przez rzekę.

Zawsze przerażała mnie ciemna skłębiona woda.

Rzeki w Tadżykistanie miejscami doskonale spełniały te warunki. Nie wiem czy jest tak zawsze czy tylko wtedy gdy topnieje śnieg w górach, tak czy inaczej nie chciałbym do takiej wpaść.





Rozglądamy się za noclegiem, jednak oprócz drogi po lewej stronie mamy skały a po prawej rzekę. W końcu zatrzymujemy się przy opuszczonym domu z resztkami sadu. Schodzimy z motocykli, kręcimy się dookoła ale jakoś żaden z nas nie kwapi się do rozbijania namiotów.

Odczuwamy jakiś dziwny niepokój. Oczywiście od razu wkręcamy sobie historię o złu, które zeszło z gór i zabrało mieszkańców. Za dużo strasznych opowieści w dzieciństwie sprawiło, że dwóch zimnych twardzieli podróżników podwinęło ogony i pojechało dalej.





Niedaleko jednak znaleźliśmy kawałek bezkamenistego brzegu pod wielką skałą. Pełnia księżyca, silny wiatr, góry i wino stworzyły magiczną atmosferę.

Gdyby jeszcze tylko wymienić tego zarośniętego typa siedzącego obok na jakąś miłą panią byłoby już zupełnie romantycznie.



Dzień piętnasty



Jedziemy otoczeni niesamowitym krajobrazem. Równy szuter zostaje zastąpiony przez fragmenty równego szutru, przeplatane rumoszem skalnym, piachem aż po wielkie otoczaki.



Droga to często wąska ścieżka przyklejona do skały. Mijamy małe wioski liczące kilka domków utopione w oazach zieleni.



W jednej z nich, gdzie pytamy o benzynę zagaduje do nas dwóch śmiesznych typków wyglądających jak animowani. Coś tam kręcą, wiją się jak łąsiczki-cwaniaczki z

kreskówek, aż w końcu pytają czy nie chcemy czegoś tam kupić. Użyli jakiejś partyzanckiej nazwy więc dopiero po dłuższym czasie zorientowaliśmy się, że chcą nam sprzedać rubiny.

Jednak rubiny kontrastują z pięknym błękitem naszych oczu więc dziękujemy i jedziemy dalej z widokiem na ośnieżone szczyty.



W kolejnej wiosce przejeżdżamy przez rzekę i tam na postoju okazuje się, że w wyniku wytelepania i paru gęb Bartkowi popękały stelaże od kufrów.

Nie bardzo da się z tym jechać więc gdy zbierają się miejscowi dowiadujemy się, że w sąsiedniej wsi jest majster ze spawarką.

Bartek zostawia cały dobytek oraz mnie a w zamian bierze ze sobą miejscowego i jadą do wsi jak amant z panną na disco.



Ja w tym czasie usiłuję opalić się nad rzeką ale oczywiście w momencie kiedy wystawiłem swe oblaźłe ciało na promienie słoneczne, słońce z obrzydzeniem schowało się za chmury. Nic to! Nadrobi się na solarce! I tak rozważając podobne egzystencjalne problemy nie zauważyłem kiedy przysiadł się do mnie gość. Gościem okazał się bardzo sympatyczny, troszkę jękający się człowiek ok. 30. - dawaj pajdiom. Czaju popijem, kartoszki wkuszamy – zapraszał serdecznie. Z żalem wytłumaczyłem, że muszę czekać na kolegę. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę gapiąc się w rzekę, po czym wesoły człowiek poszedł do domu. Nie minęło 10 minut kiedy wrócił niosąc dla mnie talerz moreli. I tak posiedzieliśmy sobie jeszcze trochę gapiąc się w rzekę i plując pestkami. Tutaj po raz kolejny żałowałem, że goni nas czas i nie możemy sobie tak po prostu pobyc z ludźmi.

Kiedy mój nowy kolega po raz kolejny zapraszając na kartoszki poszedł do domu, na drodze pojawiła wielka wiązka chrustu.

- Zdrastwujcie – zagadały gałęzie wesoło.
- Zdrastwujcie – odpowiedziałem odruchowo.
- Dawaj! Czaju popijem – zatrząsa się radośnie wiązka chrustu. To wydało mi się podejrzane. Wodę to ja rozumiem ale od kiedy gałęzie piją herbatę. Przyjrzałem się wiązce dokładniej. Po gumofilcach podążyłem w górę. Pomiedzy nimi a chrustem

odkryłem małego zaszuszonego dziadeczka, zerkającego na mnie wesołymi oczami. Znów z żalem musiałem podziękować. Po krótkiej sympatycznej rozmowie, dziadzius podreptał w swoją stronę, ja natomiast wróciłem nad rzekę.



W końcu z za zakrętu wyłoniła się Afryka. Wyjazd zakończył się sukcesem choć nie bez przygód. We wsi okazało się, że spawarka owszem jest ale właściciel niezbyt biegły w jej obsłudze, więc Bartek musiał sam spawać.

Może i nie byłoby w tym nic niezwykłego bo to końcu inżynier mechanik ale gdy spawarka podpięta jest bezpośrednio luźnymi kablami do słupa to już jest jakaś atrakcja. Napisał chłop krótki list do rodziny, ucałował świętą panienkę i odpalił spawarę..... Dwa wiadra wody na głowę ocuciły go na tyle, że mógł kontynuować spawanie. Po tym sukcesie zapakował miejscowego na tył i wrócili do mnie.

Po powrocie miejscowy zabrał nas na obiad do tradycyjnego domku we wsi. Po obiedzie (ziemniaki z cebulą i sałatka) odwiedziliśmy najstarszy dom we wsi, który podobno miał kilkaset lat.





Okazało się, że mieszka w nim z rodziną mój nowy znajomy jąkała.



Żał mi było, że daliśmy się porwać na tamten obiad zamiast zjeść z tą bardzo fajną rodziną, zwłaszcza, że jak się później okazało zdrowo nam policzono za spawanie i obiad. Ruszyliśmy dalej. Trochę zaczął nas niepokoić brak benzyny, która w dolinie jest towarem deficytowym. No ale trudno się dziwić skoro przejeżdża tędy jeden gaz w tygodniu. Mamy nadzieję, że w kolejnej wsi coś znajdziemy.





W oddali widzimy gigantyczna zaporę.



Nie wnikając w sens jej istnienia w środku Pamiru podjeżdżamy bliżej. Okazuje się, że to nie zapora ale skały do złudzenia przypominające tamę.

Na szczycie „zapory” znajduje się płaskowyż, z którego rozciąga się piękna panorama na otaczające góry.



Tam też przez pewien czas kręcimy radośnie kółka, radując się płaskim terenem pokrytym drobnym szuterkiem.

Szczyście nasze nie trwa jednak długo i po paru kilometrach już „normalnej” pamińskiej drogi naszym oczom ukazuje się brak drogi.

Brak drogi w tutejszych okolicznościach nie do końca porywa się w brakiem drogi w naszym rozumieniu. To co dla nas jest np. kupą kamieni i rowem w poprzek, to tutaj jest definiowane jako „normalna”. Jednak w tym przypadku droga kończy się w rzece co zapewne w tutejszej nomenklaturze drogowej określone jest jako „droga powiatowa o nawierzchni luźnej”.



Patrzemy w zadumie na to skrzyżowanie analizując scenariusze na najbliższą przyszłość. Widzimy, że coś tu kiedyś wjeżdżało a jakieś 20 metrów dalej wyjeżdżało co świadczy o przejezdności.

Z drugiej jednak strony widzimy ciemna zapier... wodę.

Co tam. Trzeba spróbować! Próba nie granat! Pozostało nam na tyle mózgu, żeby najpierw sprawdzić nurt i dno. W tym celu wyskakuję z portek i dziarsko wkraczam do wody. Czy widział kto kiedy żeby furmanka wygrała z pociągiem? Moje żałosne truchło zapewne byłoby atrakcją wędkarską w najbliższej wsi gdyby nie Bartek, który bohatercko złapał mnie za rękę i wyciągnął na brzeg. Okazało się, że dno zaczyna się metr poniżej drogi a prąd jest taki, że nie sposób utrzymać się na nogach. W oczach stanęło nam widmo rejterady. Rozpaczliwie szukamy miejsca gdzie można by się przepawić lecz poszukiwania zakończyły się porażką. Widzimy jednak, że droga po drugiej stronie łączy się z dróżką schodzącą wysoko z gór. Wracamy do najbliższej wsi mając nadzieję, że widziana ścieżka okaże się przejezdnym objazdem.



Ku wielkiej radości miejscowi wskazują nam dróżkę pnącą się wysoko w góry mówiąc, że tędy ominiemy rzekę. Dzień się powoli kończy więc nie tracąc czasu wjeżdżamy na wskazaną drogę.

Szaro. Dookoła nas potężne, nagie szczyty a my wspinamy się mozolnie po ciasnych i bardzo stromych serpentynach na wysokość 3100m.



Jakby tego było mało jedziemy walcząc z bardzo mocnymi powiewami wiatru niosącego ze sobą wielkie chmury piasku. Wszystko to wydaje się być takie nierzeczywiste. Czujemy się jak jakim nieprawdziwym, abstrakcyjnym świecie.

Po wyjściu z kolejnego ciasnego zakrętu dostaję tak mocne uderzenie wiatru, że wylatuję z motocyklem na pobocze uderzając przednim kołem w głaz. Motocykl wali się na bok tracąc przy okazji kufer. Ja jeszcze kawałeczek jadę ale już bez motocykla, po czym zalegam w piachu. Mija dłuższa chwila zanim Bartek jadący z przodu, skoncentrowany na utrzymaniu motocykla na drodze zauważa straty w taborze. W końcu wraca na piechotę rozsądnie zostawiając motocykl gdzieś tam na górze.

Podnosimy moją Afrykę, prostuję kamieniem mocowanie kufra po czym montuję go na stelażu. Uderzenie o ziemię okazało się na tyle mocne, że stelaż wygiął się bardzo ładnie, przez co zamocowany kufer smętnie sterczy w górę. Rani to wielce moje zamiłowanie do symetrii.

Kiedy po zakończeniu całej tej operacji sięgam po kask odłożony uprzednio na przydrożny kamień stwierdzam, że kasku na kamieniu niet. Dokładne oględziny okolicy nie stwierdziły obecności kasku. Patrzę na Bartka i widzę, że myśli to samo co ja. W milczeniu wychylamy się i spoglądamy w dół. W dole, jakieś 40 m niżej dostrzegamy czarną plamę.

- Acha. Czyli w najbliższej wsi trzeba będzie kupić arbuza, wydrążyć, pomalować na czarno i chronić przed kozami.

Schodzę po skale aby zebrać smętne szczątki mojego ulubionego dekla. O dziwo po drodze znajduje tylko jeden fragment, będący bardziej ozdobą niż żywotną częścią kasku. Cała reszta leży troszkę niżej. Z niedowierzaniem podnoszę, kask, oglądam z każdej strony, szukam pęknięć, lecz oprócz kilku małych odprysków nie znajduję nic. Daszek cały, szyba bez ani jednej rysy. Tym samym kask Uvex enduro po raz kolejny udowodnił swą jakość.



Kiedy w końcu dostajemy się na szczyt widoki po raz kolejny nas zatykają. Kolejna piękna panorama z piętrzącym się potężnym Pikiem Rewolucji w roli głównej.



W miejscu, w którym czujemy się jak zdobywcy leży normalna wioska, gdzie między domami biegają dzieciaki.



Jedynym pojazdem we wsi jest Ural z koszem, który na nasz widok popisuje się terenową jazdą i trzeba przyznać, że nadaje się do tego. Motocykl załadowany 5 osobami śmiga lekko po kamieniach. Niestety tutaj też nie można kupić benzyny.





Po krótkich poszukiwaniach znajdujemy właściwą drogę i powoli, wąską dróżką nad przepaścią zjeżdżamy do rzeki. Tym sposobem po 2 godzinach znajdujemy się 20m od miejsca skąd zawróciliśmy.



Robi się ciemno, padamy na pysk ale chcemy dojechać przynajmniej do wioski widocznej w oddali.

Bartang jednak nie odpuszcza tak szybko. Końcówkę pokonujemy jadąc strumieniem by wyjechać w wyschniętym korycie rzeki. Jazda po dużych otoczakach wypompowuje nas całkowicie.

Już po ciemku jedziemy jak te 2 zombi za wieś w poszukiwaniu miejsca na namioty. Wpatrzeni w światła Afryki przede mną nie zauważam sterczącej z pobocza skały. Walę w

nią prawym kufrem, który po raz drugi tego dnia odpada a ja po raz drugi wystrzeliwuję się z siedzenia. Stwierdziwszy, że w naszym stanie i po ciemku dalsza jazda to samobójstwo, rozbijamy się za pierwszym większym głazem. Ze zmęczenia ogarnia nas totalna głupawa. Rechoczemy jak idioci a żeby było mało, Bartek zupełnie poważnie zapragnął ugotować pier.. wiśniowy kisielek. W obliczu tej abstrakcji moje ostatnie zwoje mózgowe poległy.. Zapadłem w ciemność



Dzień szesnasty

Motocyklista 1:

- Jednakowoż dzisiaj musimy dojechać do Karakul gdyż jak dobrze wiesz, mieliśmy dokonać tego wyczynu już wczoraj.

Motocyklista 2:

- Nie sposób się z tobą nie zgodzić. Niestety w wyniku trudności natury obiektywnej zamarudziliśmy tutaj dłużej niż planowaliśmy.

Razem:

- Zatem dalej, rażno siadajmy na motocykle aby jeszcze dziś spędzić noc w Karakul!!!

Chór:

- O święta naiwności ! O święta naiwności !

Rano naprawiam szybko latający kufer i w drogę.



Po przejechaniu 7 kilometrów motocykl dławi się i staje. Od dłuższego czasu jechałem na rezerwie więc tym sposobem staje się posiadaczem 300 kilogramowej hulajnogi. Na luzie staczam się akurat na tyle aby gdzieś tam w dole pojawiła się wioska.

Biorę od Bartka puste kanistry i ruszam na nieplanowaną przechadzkę po górach.



Po ok. 20 minutach docieram do pierwszego domu. Zapytany właściciel prowadzi mnie na drugi koniec wsi gdzie mieszka miejscowy biznesmen.



Biznesmen jest właścicielem jedyne sklepu we wsi oraz jedynej stacji benzynowej w promieniu 200 km. Idziemy razem poza wieś gdzie mieści się dystrybutor z benzyną.

Pan rezolutnie ściąga wielką kłódkę z zakopanego do połowy w ziemi, pordzewiałego zbiornika, wyciąga miarkę w formie wiadra, strzepuje popiół z papierosa i pyta: - ile?

Biorę po ok. 7 litrów do każdego kanistra i kieruję się do motocykli. Na koniec dostaję jeszcze od poznanego na początku człowieka worek moreli, które zrywamy u niego pod domem.

Tuż za domem zaczyna się ostre podejście. 2 kanistry, upał oraz wysokość sprawiają, że te 40 metrów pionie pokonuje na 5 rat. W końcu wyczołguję się na bardziej płaski odcinek skąd widać już motocykle. Leżę jeszcze kilkanaście metrów po czym zalegam zwłokami na kamieniu i macham do Bartka, który schodzi przejąć kanistry. Wlewamy benzynę do baku i postanawiamy jeszcze raz zatankować, tym razem bezpośrednio do motocykli.

Tutaj nasunęło mi się pytanie: - Po jakiego ch... targałem obydwie pełne kanistry. Nie znajdując satysfakcjonującej odpowiedzi zajeżdżamy pod dystrybutor



Po zatankowaniu tego wybornego paliwa moja Afryka zamieniła się w znany i lubiany ciągnik Władimirec.

Jechałem więc przy akompaniamencie dźwięków samochodu Baltazara Gąbki zostawiając za sobą kłęby czarnej sadzy.

Najbardziej niepokojącym był jednak towarzyszący efektom audio wizualnym bardzo duży spadek mocy. O dziwo Bartka Afryka praktycznie nie odczuła różnicy w paliwie.



Zanim dojechaliśmy do kolejnej wsi Rush czekała nas przeprawa przez most. Ów owoc lokalnej myśli inżynierskiej składał się z poprzecznych żerdzi ułożonych w odległości ok.

50 cm od siebie oraz z kilku dziurawych desek ułożonych luźno w 2 pasy pod koła.



Początkowo chcieliśmy przejechać po tym tradycyjnie lecz po bliższych oględzinach stwierdziliśmy, że jest całkiem spora szansa, że skończymy w rzece z połamanymi o żerdzie nogami. Pokonywanie mostu na piechotę też nie okazało się łatwe. Bartek trzymając Afrykę za kierownicę sadził kroki od żerdzi do żerdzi, Ja natomiast szedłem po deskach trzymając motocykl od tyłu za kufry. W Rush wprosiliśmy się na obiad do sympatycznej rodziny a przy okazji pobawiliśmy się w lekarzy dając aspirynę dla gorączkującego dziadka.



Wg. Naszej arcydokładnej mapy Pamiru w skali 1:3 000 000 od Ruhsz do Karakul prowadzi prosta jak drut świetnej jakości żółta droga.



Zamiast się polepszyć, droga zamieniła w wielkie kamieniste gównno z jeszcze jednym wspaniałym mostem tuż przed ostatnią wsią przed Karakul – Kudara.



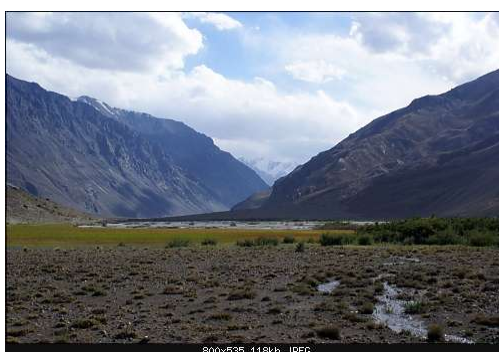
Z Kudara do Karakul pozostało ok. 120km. Licząc na odnalezienie mitycznej żółtej drogi mijamy wieś i dziarsko ciśniemy na wschód.



Już pierwszy podjazd za wsią to czołganie się na jedynce pomiędzy kamieniami. Duże okragłe kamienie przechodzą w mniejsze okragłe kamienie, te natomiast w piach a ten z kolei w błoto, który płynnie przechodzi w ostry rumosz skalny.



Często pełzamy podpierając się nogami z 2 stron motocykla. Miejscami droga ginie zupełnie.



Część drogi pokonujemy korytem wyschniętej rzeki by wyjechać na czymś w rodzaju zaschniętej pooranej kanałami lawy.





W końcu dojeżdżamy do miejsca gdzie droga znika pomiędzy dużymi otoczakami.



Czołgamy się usiłując utrzymać motocykl w pionie. Obrona przez nas droga kończy się jednak w strumieniu płynącym przez środek owej kamiennej łąki.



Po dłuższym czasie udaje się nam odnaleźć coś co minimalnie przypomina bród. Moja Afryka nie radzi sobie z wyjazdem pod każdą większą przeszkodę. Wyje, pierdzi i gaśnie przez co Bartek musi mnie wypychać.



Zmasakrowani fizycznie wjeżdżamy na wąską dróżkę pnąca się w górę, na której zatrzymuje nas zator z piargu. Zsiadamy z motocykli jednak oprócz śladów kóz na piargu, który zsunął się z góry nie widzimy nic.



Patrzemy na mapę i jej żółtą drogę lecz z tej, wynika, że rzekę powinniśmy mieć po prawej stronie natomiast my mamy ją po lewej. - Nie ta droga – wyduszam z siebie załamany.

Pomyliliśmy drogi. Przegapiliśmy zjazd na żółtą. To pewnie jest jakaś ścieżka pasterska.....wracamy.

Zmierzcha się. Od Kudara przez ok. 5 godzin pokonaliśmy 35 km. Zmiażdżeni wizją powrotu tą samą drogą zawracamy. Jadąc rozglądamy się nadaremno za alternatywnym szlakiem. Postanawiamy wrócić do Kudara i zapytać się gdzie jest droga właściwa. W połowie drogi na horyzoncie ukazuje się ściana kurzu.

Zgodnie z zasadą „jak masz w życiu pecha oraz nieszczęść kupę złamiesz sobie palec wycierając dupę „ wjeżdżamy w sam środek burzy piaskowej. Na szczęście burza trwa na jedynym w miarę sensownym odcinku drogi więc jest bezboleśnie.



Na kilka kilometrów przed wsią zastaje nas noc. Jedziemy już tylko i wyłącznie siłą woli. Na kamienistych serpentynach kierownica lata mi jak chce. Zatrzymuje się przekonany, że nie mam powietrza w przedniej oponie. Okazuje się jednak, że to ze zmęczenia nie mam już siły utrzymać prosto kierownicy. Bartek przeżywa dokładnie to samo. We wsi pytamy czy można rozbić namioty jednak zapytany nie chce o tym słyszeć i zaprasza nas do swojego domu, Nie protestujemy. Dom składa się z 2 dużych izb. Jedna to sypialnia dla ok. 10 osób, druga to coś w rodzaju pokoju dziennego z jadalnią.



Mieszkańcy częstują nas herbatą, lepioszką, ciepłym mlekiem i jajecznica. W Kudara nie ma prądu więc siedzimy przy świecach. Palące się świece tworzą w chatce atmosferę bezpieczeństwa i przytulności. Po dzisiejszej trasie jest nam tutaj niesamowicie dobrze. (edit: właśnie zauważyłem, że to latarka była a nie świeca...pardon)



Pytamy o właściwą drogę do Karakul.

Odpowiedź wali nas w łeb jak porządna sztacheta w remizie. - Jechaliście dobrą drogą. Innej tutaj nie ma. Okazało się, że zawróciliśmy tuż przed przełęczą po której zaczyna się płaska jak stół pustynia. Czyli jutro po raz trzeci musimy pokonać najgorszy odcinek tego wyjazdu.... Przez chwilę rozważamy odwrót z Bartang lecz idea ta szybko upada. Wykończeni fizycznie i podłamani psychicznie kładziemy się spać. Nie możemy jednak zasnąć. Snujemy najgorsze wizje. Wizją przewodnią jest lot w przepaść w drodze na przełęcz. Do tego niepokoi nas ilość benzyny, zwłaszcza, że moja Afryka pali chyba 10 litrów na 100km.

Żeby tego było mało słyszymy deszcz uderzający o okno w suficie. A co z żółtą drogą A to, że ona nie istnieje, nie istniała i prawdopodobnie istnieć nie będzie. Jest to marzenie lokalnego kartografa, który miał wizję autostrady trans bartangskiej...

Dzień siedemnasty

O 6 jesteśmy już na nogach. Na zewnątrz zimno i mokro a góry pokryte śniegiem.



Wczorajsza trasa, na którą nałożyły się nasze nocne wizje w połączeniu z dzisiejszą pogodą sprawiają, że zbieramy się do dalszej jazdy jak na egzekucję.

Miejscowi zapytani o benzynę wskazują nam dom, w którym mieszka właściciel jednego ziła we wsi.

Żegnamy się z mieszkańcami domu, kiedy podchodzi do mnie właściciel domu i pokazuje, że chce kasę za nocleg. Trochę zdziwiony pytam ile na co gość rzecze – 100. 100 ichniej kasy to ponad 20\$. Dość mocno zdegustowani wręczamy mu 20\$ i jedziemy po benzynę.

Właściciel ziła może sprzedać nam tylko po 3 litry na motocykl. Mało, cholernie mało ale już nie ma odwrotu. Bierzemy te 6 litrów, za które płacimy jakąś abstrakcyjnie wysoką sumę (też chyba ok. 20\$) i wyjeżdżamy głęboko znieścaczeni.



Wczorajszą trasę do miejsca obsuniętego piargu udaje nam się pokonać w niewiele ponad 2 godziny. Niestety w wyniku tego samo-nakręcenia się jadę niesamowicie wysztywniony co przekłada się na idiotyczne 4 gleby.



Wczorajszy piach zamienił się miejscami w błoto nie widoczne na pierwszy rzut oka. Dowiaduję się o nim dopiero w momencie gdy wywija mi tylne koło a ja leże obok. Tak czy inaczej dotarliśmy do miejsca wczorajszego odwrotu.



Na czworaka pokonujemy zasypany odcinek i rozpoczynamy wspinaczkę na przełęcz.



Nie możemy uwierzyć, że gość jeździ tędy zimą. Wąska dróżka z tak ciasnymi i stromymi zakrętami, że Afryką ciężko wykręcić a co dopiero ciężarówką.



Jesteśmy już prawie na wys. 4000 metrów a moja Afryka z każdym metrem coraz bardziej traci moc aż w końcu staje na amen. Wymieniamy filtry powietrza co przez chwilę pomaga jednak po kolejnym zakręcie motocykl staje nie poradziwszy sobie z kamienistym pojazdem. Próbujemy na pych jednak niewiele to daje a pchający Bartek już po chwili leży dysząc i charcząc. Takie uroki wysokości.



Najgorsze jest to, że aby moja afryka ruszyła trzeba odkręcić gaz do końca licząc, że w pewnym momencie wystrzeli do przodu. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że musi wystrzelić prosto w duże, luźne kanciaste kamienie znajdujące się akurat na zwężeniu i tak wąskiej dróżki. Jeśli na jednym z nich podrzuci mi koło to mam wielką szansę aby z całym majdanem w trybie niezwykle przyspieszonym pofrunąć w przepaść. Następuje zmiana.

Siada Bartek a ja pcham. W końcu Afryka załapuje i przeskakuje po kamieniach a Bartek nie chcąc zatrzymywać tej sieczkarni w obawie przed kolejnym zgonem dojeżdża na szczyt przełęczy. Ja pokonuję ten odcinek z buta próbując przekonać płuca, że na zewnątrz nie ma nic specjalnie ciekawego i nie muszą wyłączyć.



W końcu jest! Pustynia! Alleluja! Teraz byle jak najdalej do przodu przed końcem paliwa.



Góry coraz bardziej się rozstępują robiąc miejsce pustyni. Po przejechaniu dosłownie kilku kilometrów moja Afryka staje.



Do Karakul ok. 80 km a ja na rezerwie. W normalnych warunkach powinno starczyć jednak przy obecnym spalaniu wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że jestem w głębokiej dupie. W desperacji dolewam do baku benzynę z kuchenki po czym koncentruję się tylko na jednym. Byle dalej.



Jedziemy szeroką pustynią z widokiem na pięknie ośnieżone szczyty.



Zatrzymujemy się na foty jednak w obliczu widma zostania tutaj na amen jakoś mniej niż zwykle zachwycam się widokami a te są po prostu niesamowite.





Żeby naszemu twardejstwu stało się zadość wjeżdżamy prosto w śnieżycę. Zimno, mokro i gówno widać. Śnieżycą się kończy ale żeby równowaga została zachowana, po przejechaniu 60 km kończy się rezerwa.



Bartek dopiero przełączył na rezerwę więc odlewamy od niego ok. 1 litra. Tankowanie to starcza na przejechanie jeszcze 5 km.



Na szczęście udało się dojechać do asfaltu prowadzącego do Karakul. Nie odlewamy już benzyny z drugiej Afryki bojąc się, że w ten sposób żaden z nas nie dojedzie do cywilizacji.



Postanawiamy, że ja czekam a Bartek jedzie z kanistrami do Karakul po benzynę. Jak postanowiliśmy tak też uczyniliśmy.

Jest pusto, ponuro i zimno jak cholera a do tego mam mokro w butach od przeprawy przez strumień, w którym utknąłem. W końcu wraca Bartek. Jest siny z zimna ale zdobył, wg zapewnień sprzedawcy ostatnie 5 litrów benzyny w całym Karakul. Zatrzymujemy jeszcze kirgiskiego uaza, którego kierowca sprzedaje nam jeszcze 2 litry. Oczywiście nie muszę już wspominać o tym, że podczas przetaczania benzyny palił papierosa pochylony z zainteresowaniem nad strumykiem benzyny.

Po dojechaniu do Karakul do pełni wizerunku brakowało nam już tylko węglowych guziczków i marchwianego nosa. Bartek zsiadł z motocykla pierwszy kiedy zapalono pod nim ognisku, mnie polano wrzątkiem i już razem zameldowaliśmy się w Homestay (tak się zwie takie niby schronisku w domu u ludzi) Oprócz nas zameldowała się tam także śmieszna czeska ekipa, która właśnie zakończyła wyprawę na Pik Marksa. Kiedy trochę się rozgrzaliśmy przy rozkosznie ciepłym piecyku poszliśmy w „miasto” poszukać telefonu.

Telekomunikacja Tadżycka S.A. mieści się w jednym z domów mieszkalnych. Po wyłuszczeniu naszej potrzeby, zostaliśmy skierowani przez starszego Pana do następnych drzwi.

Następne drzwi prowadziły do pomieszczenia o wymiarach 100x150cm, za wyposażeniu, którego znajdował się taboret oraz okienko. W okienku po chwili pojawił się poznany przed chwilą Pan wręczając kartkę, na której napisałem numer telefonu. Pan wykręcił numer i po chwili mogłem już przekazać światu, że jeszcze nie należy wyprzedawać naszych gratów. Następnym punktem wycieczki był sklep wielobranżowy.

Sklep sprzedawał nic oraz benzynę. Wyraziliśmy wielkie zainteresowanie benzyną, której miało nie być.

Umówiliśmy się na tankowanie jutro rano po czym poczłapaliśmy pozachwycać się największym jeziorem Tadżykistanu leżącym na wys. 3914 m. Wyszło słońce więc pomimo zimna zrobiło się całkiem przyjemnie.



Wróciliśmy do domu akurat na pyszny obiad (ziemniaki z mięsem), posiedzieliśmy jeszcze chwilę z Czechami po czym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, walnęliśmy się spać zrzucając z siebie całego psychicznego doła.

Rozdział czwarty - Jak na wakacjach odmrozić sobie jajca

Dzień osiemnasty

Budzimy się pełni energii i żądzы czynów. Stan ten trwał do momentu podejścia do okna.

- Drogi kolego... ja rozumiem, że komórki nie mają zasięgu ale chyba nie jesteśmy aż na takim zadupiu żeby mi wzrok śnieżył. Wystawienie antenki oprócz omdlenia gospodyni nie spowodował innych zmian w obrazie więc musieliśmy się pogodzić z faktem, że pada śnieg. Padał już na tyle długo, że zdążył już przysypać wieś a wraz z nią nasze Afryki.



Pomimo świadomości, że za chwilę będziemy musieli w tym jechać serce me ogarnął świąteczny nastrój spowodowany połączeniem śniegu z wesoło trzaskającymi drwami w piecyku.



Wyjechaliśmy jakoś tak szybko... i tak będę się upierał, że moje wykonanie „Wśród nocnej ciszy” było całkiem interesujące... ignoranci.



Po chwili zameldowaliśmy się po benzynę u Babuszki w sklepie. Tankujemy z wiadra po czym ruszamy w kierunku granicy z Kirgistanem



Odpuszczamy tym samym podjazd pod przełęcz Ak-Bajtał oddalonej o ok. 100 km. Szkoda ale jest bardzo zimno a nad górami wisi ciężka czapa chmur tak, że i tak byśmy nic nie zobaczyli oprócz asfaltu.



Mamy na sobie kalesony, 2 pary spodni, pod kurtkami polary a na nogach po 2 pary skarpet. Nie byłoby źle gdyby nie to, że na dłoniach mamy tylko letnie crossowe czy nawet

bardziej rowerowe cienkie rękawiczki. Po krótkiej jeździe dłonie chcą z zimna odpaść. Zatrzymujemy się. Zakładam dodatkowo rękawiczki robocze (takie cienkie warsztatowo-ogrodnicze) co minimalnie pomaga. Bartek natomiast wyciąga drugą parę grubszych rękawiczek motocyklowych... Helmut jeden.



Jedziemy ze śnieżycą prosto w pysk. Widać niewiele a na dodatek mocno paruje mi szyba w kasku. Pomaga uchylene szybki co jednak wiąże się ze zmrożonymi kulkami walącymi po odsłoniętej gębie. Tak czy inaczej jadę bardziej po omacku kierując się na światelko Afryki jadącej z przodu. Dobrą wiadomością jest to, że moja Afryka odżyła po Babcinej benzynie. Śnieżycą w końcu ustaje a my wjeżdżamy na tarkę. Po chwili wytrząsania czuję znajome ściąganie motocykla na pobocze.

Tak właśnie. Znów odfrunął mi kufer i znów w wyniku mojego niedopatrzenia. Wiedziałem, że jedno mocowanie jest bardzo luźne ale to olałem. W dodatku w latającym kufrze nie było kłódki, którą tak gdzieś sprytnie schowałem, że do tej pory jej szukam.

Owoce mego geniuszu jest zawartość kufra pięknie rozłożona po całej drodze. Po zebraniu wszystkiego do kupy dojeżdżamy do Granicy leżącej na wysokości 4200 m



Jest bardzo niewiele ponad zero stopni a granica tonie w bloku. Na szczęście formalności nie trwają zbyt długo i wjeżdżamy w pas neutralny. Pas neutralny ma szerokość ok. 20km (przynajmniej tak mówił pogranicznik) Neutralność pasa objawia się także tym, że żadna ze stron nie czuje się emocjonalnie związana z nawierzchnią drogi prowadzącej przez pas wobec powyższego jedziemy w pośniegowej błotnej mazi. I tak kulamy się na jedyńce po serpentynach aż do kirgiskiego postu gdzie nagle przestaje padać śnieg i zaczyna się asfalt.



Formalności trwają bardzo krótko i już po chwili radując się z asfaltu ciśniemy do Sary-Tash oglądając pierwsze jurty. Przed Sary-Tash znów zaczyna padać deszcz ze śniegiem więc przemarznięci szybko szukamy gostinicy.



Instalujemy się w najmniejszym pokoiku z największym piecem w postaci metalowej spirali owiniętej wokół betonowej rury i napawamy się 50 stopniami panującymi w pokoju.



Po odtajaniu idziemy w miasto nażreć się oraz kupić wino i koniak. Tego dnia po przejechaniu całych 65 kilometrów postanawiamy leżeć, oglądać TV i żłopać koniak. Plan bardzo zacny. W telewizji lecą lokalne telezakupy, w których długobrody mnich ogrodnik zachwala niesamowitą łopatę półobrotową za bardzo przystępną cenę.

Po wypiciu koniaku znów idziemy się nażreć po czym nadchodzi czas kąpieli.



Kąpiel odbywa się na korytarzu gdzie ustawiono miednicę oraz wiaderko ciepłej wody. I tak stoimy po kolei z wodą po kostki i gołą dupą licząc, że nikt akurat nie będzie miał życzenia przespacerować się korytarzem.

Jak to człowiekowi niewiele potrzeba do szczęścia.

Dzień dziewiętnasty

Dzisiaj planowaliśmy podjazd pod Pik Lenina. Niestety na polu (czy tam na dworze) znów zimno i pada. Patrzymy w kierunku Piku i widzimy tylko chmury więc nie tracąc czasu ruszamy na Osh. W końcu pojawiają się regularne stacje benzynowe z porządnym paliwem. I znów wspinamy się błotnistymi serpentynami i takimi też serpentynami zjeżdżamy. Mijamy po drodze dziesiątki TIR ów, głównie chińskich, które nie bardzo radzą sobie z błotnym podjazdem.



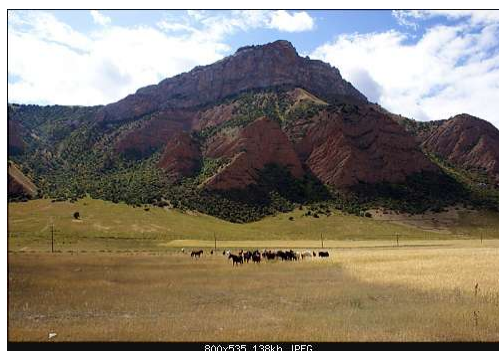
Cała ta droga to wielki plac budowy. Tutaj, podobnie jak w Tadżykistanie chińczycy budują drogi.



Mijamy jurty, które powoli przechodzą w drewniane domy w miarę jak zjeżdżamy z gór.



Przez 100km jedziemy rozgrzebanym traktem przygotowywanym do położenia nowego asfaltu.



Po tym odcinku zaczyna się fajny asfalt, który ciągnie się już do samego Osh. Osh to normalne miasto nie różniące się aż tak bardzo od innych miast wschodnioeuropejskich. Przedzieramy się w korkach na stare miasto gdzie siadamy w przyjemnej knajpce. Helmucimy sobie elegancko, jedząc jakieś wymyślne cuda, kiedy podjeżdża do nas rowerzysta i zagaduje po polsku. W ten sposób poznajemy X (...tu wstaw zapomniane imię. Bartek ma gdzieś adres jego strony więc wkleję za jakiś czas) polaka mieszkającego od lat w Niemczech. Chłopak jest już 5 miesięcy w drodze. Następnym punktem jego wycieczki są Chiny, lecz jeśli nie dostanie wizy to jedzie do... Australii. Osh szybko nas męczy więc wsiadamy na motocykle i jedziemy na Jalalabad. Jedziemy sobie delektując się porządnym asfaltem.

Kirgistan sprawia wrażenie o wiele bogatszego kraju od Uzbekistanu czy Tadżykistanu. Po przejeździe przez Kirgistan wyjaśniła się wielka przewodnia zagadka wyprawy. Otóż Kirgiz schodzi z konia po to aby wsiąść w BMW, Mercedesa albo Audi. Przez spory kawał naszej trasy Kirgistan to dobre drogi, Niezłe samochody i ogólnie normalna cywilizacja. Trochę mijają się to z naszym postrzeganiem tego kraju zbudowanym na różnych relacjach pokazujących ten kraj jako jurty, konie, brak dróg i ogólne średniowiecze. To trochę tak jakby przedstawić Polskę tylko przez pryzmat np. podlaskich wsi. Co prawda to właśnie te dzikie regiony przyciągają najbardziej jednak warto wiedzieć, że są rejony gdzie ludzie żyją sobie tak jak u nas.

Szybko dojeżdżamy do Jalalabad i przez wielką bramę wjeżdżamy do miasta. Tak bardzo spodobała nam się nazwa Jalalabad, że postanawiamy zostać tutaj na noc.



Bierzemy pokój w hotelu.

Hotel jest niezależnym, samowystarczalnym bytem obojętnym na zmieniające się czasy i obyczaje. Obsługę, której jest więcej niż gości stanowią Rosjanki w Wiekach od 50 w górę. Pewnego dnia ten hotel zyskał świadomość i przeczuwając zmiany nauczył się zakrzywiać czasoprzestrzeń sprawiając, że jego wnętrze wraz z nieświadomymi tego faktu pracownikami tkwi w przeszłości odległej o jakieś 20 lat.

Meldujemy się w tym miejscu rodem z Delicatessen, przebieramy się i biegniemy na „miasto nocą” Zwiedzanie szybko kończy się na głównym placu miasta przy stoliko-łóżku. Zamawiamy po 2 baranie szaszłyki, które są już dla nas obiektem kultu oraz piwo. Tymczasem na parkiecie odbywa się istne taneczne szaleństwo. Hitem hitów jest wielokrotnie powtarzana piosenka, która oczarowała także nas swym refrenem „Siała baba tra la la la”

Nucąc pod nosem wracamy do hotelu.

Dzień dwudziesty Rano śniadanie w hotelowym bufecie, szybki serwis motocykli (w tym prostowanie stelaże w pęknięciu w murze) tankowania i w drogę. Początkowo widoki przypominają mi bardziej Grabownicę pod Brzozowem niż Kirgistan lecz szybko zaczynają się piękne góry, które początkowo mają niesamowity czerwony kolor a później stają się jakby puszyste





W międzyczasie podczas jazdy zerkam na prędkościomierz i pomimo przesuwającego się krajobrazu moja prędkość wynosi 0. licznik kilometrów także nie wykazuje ruchu.

Dziwne... czyżbym miał do czynienia z paradoksem księżnej z Alicji po drugiej stronie lustra czyli: Z jaką prędkością trzeba biec aby krajobraz stał w miejscu. W moim przypadku jest trochę na odwrót czyli: jak bardzo trzeba stać aby krajobraz się przesuwał z prędkością 100km/h. Obliczenia nie dają mi jasnej odpowiedzi więc postanawiam zsiąść z motocykla. Już przekładałem nogę nad siedzeniem kiedy odruchowo naciskam hamulec w wyniku czego krajobraz zdecydowanie zwalnia aż w końcu zatrzymuje się zupełnie.

Oględziny wykazały, że przyczyną tych anomalii jest zepsuty ślimak prędkościomierza. Tym samym już do samej Polski przebieg mojej Afryki nie wzrósł nawet o kilometr. Jednak Jalalabad to zaczarowane miejsce. Kierujemy się na jezioro Toktogul po drodze zatrzymując się przy przydrożnych straganach. Wokół nas zbiera się grupka handlarzy. Rozmawiamy chwilę i od jednej handlarki dostajemy w prezencie pięknego melona.

Kiedy tradycyjnie odpowiadamy na pytanie o cenę motocykla słyszymy, że przecież w tej cenie to samochód można kupić. Odpowiadamy, że owszem tak ale wolimy motocykl bo czujemy się jak na trochę szybszym koniu. Widać, że bardzo spodobała się ta odpowiedź zwłaszcza jednemu starszemu Kirgizowi. Na podkreślenie tego dostajemy kolejnego melona.

Jedziemy wzdłuż rzeki Naryń o pięknym turkusowym kolorze (w temacie kolorów prosiłbym o wypowiedzenie się jakiejś kobiety) po idealnie równym asfalcie. Droga wiję się między górami a my czujemy się jak w Alpach.



W ten sposób dojeżdżamy do Karakol gdzie jemy pyszne samsy, które są bułeczkami nadziewanymi mięsem. Wypiekane są w glinianym piecu, przyklejone do jego ścian



W Karakol płacimy przy szlabanie 5\$ za użytkowanie drogi. Na pytanie dlaczego my płacimy 5\$ Kirgizi 5 ichnich słyszemy – Bośta inostraße.



Zza gór wylania się piękne jezioro Toktogul. Objeżdżamy je na około i lądujemy w miejscowości o takiej samej nazwie



W miejscowości tej mającej ok. 3 km długości znajduje się 10 stacji benzynowych.

Zajeżdżamy nad jezioro wybadać teren pod namioty a przy okazji Bartek jako wytrawny wędkarz idzie złowić nam kolację. Ja w tym czasie studiuję zielarstwo.... A jest co studiować o jest...



Po godzinie połowów wracamy do wsi coś zjeść.... W czasie gdy jemy pyszną rybę i solankę robi się ciemno, zimno i zaczyna kropić. Miejsce w którym siedzimy tak nas rozleniwiła, że postanawiamy zostać tutaj na noc a tak się składa, że mają tutaj pokoiki do wynajęcia. Przed snem gramy w ping-ponga z miejscowymi dziećmi po czym idziemy spać.



Dzień dwudziesty pierwszy

Rutyna zabija więc dziś postanowiliśmy najpierw wyruszyć a później wstać z łóżka. Efekt przełamania rutyny nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei więc dość tradycyjnie wyruszyliśmy, kierując się na Kazachstan.



Tuż po wyruszeniu droga pnie się coraz bardziej w górę a co za tym idzie robi się coraz chłodniej. Próbuje ignorować chłód z nadzieją, że i on mnie zignoruje... i prawie się udało.. przyjął mnie chłodno. W końcu na wysokości ok. 2000m. kapitulujemy. Stajemy na poboczu i wdziewamy na siebie ciepłe galoty robiąc wspaniałe widowisko dla miejscowych.

Po chwili dla odmiany zaczyna padać śnieg. Robi się tak zimno, że co chwilę zatrzymujemy się żeby rozgrzać dłonie na tłumiku. Dookoła góry śnieg a w tym wszystkim jurty zestawie krowami i koźmi



Jako wytrawny filmowiec wystawiam poza owiewkę łapę z kamerą co było bardzo słabym pomysłem i po chwili znów wiszę z dłonią na tłumiku



Zaczyna się mgła. Chwilami jest tak gęsta, że w ostatniej chwili omijam głazy, które zaległy na drodze.



W końcu dojeżdżamy na przełęcz 3300m. skąd pozostał nam już tylko zjazd.



Na drodze zalega topniejący śnieg, więc biorąc poprawkę na mitasy na tylnym kole, jedziemy bardzo ostrożnie.



Powoli robi się coraz cieplej, znika śnieg, tylko czasem zawiewa zimnym górskim wiatrem.



Kończy się asfalt a mi kończy się powietrze w przedniej oponie. Śmieszna sprawa. Dętka dziurawa a opona cała. Zmieniamy dętkę a przy okazji przekładamy oponę na właściwy kierunek. Pomimo, że na TKC jest narysowany kierunek kręcenia to do tej pory nie odkryłem różnicy w jeździe, zużyciu czy czymkolwiek innym.

Tym samym została zaliczona pierwsza i ostatnia guma na tym wyjeździe.



Pomimo tego, że już od dłuższego czasu jedziemy w ciepłe nie mogę się rozgrzać a co gorsza przemroziłem sobie „części delikatne” co objawia się częstymi postojami i cholernym bólem przy laniu. W Talas na bazarze kupujemy Kirgiskie czapy. Tzn. Bartek kupuje a ja walczę z wyjątkowo nachalnymi kibicami. Goście są po prostu bezczelni i prawie mnie spychają z motocykla bo se muszą dotknąć. Niestety muszę się przyznać, że miałem szczerą ochotę przypier... któremuś.

Na szczęście wraca Bartek i możemy jechać dalej. Zatrzymujemy się jeszcze na obiad u bardzo sympatycznej Pani. Zamawiamy Kurdak. Na ogół była to fajna smażona baranina lecz tutaj dostaliśmy jakieś gąbczaste fragmenty trzewi pływające w głębokim tłuszczu. Jemy to zgodnie z zasadą „najwyżej nas rozesra”, popijamy kumysem (czy jak tutaj piszą, kymysem) i jedziemy dalej. Kask ma niestety tę cechę, że pozwala wielokrotnie przeżywać na nowo niedawny obiad. Tak więc jedziemy, chcąc nie chcąc wspominając kurdaka. Kiedy przejeżdżamy przez kolejną wieś na drogę wyskakuje koń. Wystraszywszy się Bartka jadącego z przodu próbuje gwałtownie zawrócić. Podczas tego manewru, koń łapie poślizg i ładuje mi się prosto pod koła.

Chcę uciekać na pobocze jednak akurat w tym momencie wyprzedza mnie Kirgiz łądą pomimo tego, że doskonale widział co się dzieje. Na szczęście w ostatniej chwili koń chwyta przyczepność i mijamy się patrząc sobie bardzo głęboko w oczy. Kirgizi mają genetycznie zakodowaną potrzebę wyprzedzania dla samej idei wyprzedzania. Wyprzedzanie na trzeciego czy czwartego najwyraźniej jest tutaj w dobrym tonie. Bardzo urzekła mnie troska kierowców idących prosto na czołówkę, którzy to mrugali na mnie światłami. Nie bardzo mając pomysł jakiego zachowania się ode mnie oczekuje, przyjaźnie

odmrugiwałem delikwentowi. Jeszcze sympatyczniejszym bardzo popularnym manewrem było wyprzedzanie tylko po to, żeby na sekundę po zakończeniu wyprzedzania dać po hamulcach i skręcić pod dom. Na kilka kilometrów przez granicą z Kazachstanem zjeżdżamy w pola gdzie przy zachodzie słońca jemy melona tradycyjnie popijając winem



Dzień dwudziesty drugi

Grawiejką podjeżdżamy do granicy. W pierwszym okienku ambitna Pani celnik przez 20 minut dzielnie wstukuje nasze dane w komputer... po czym przepisuje to wszystko do dyżurnego zeszytiku.

W tym czasie granicę przekracza rodzina Uzbeków w sile ok. 15 osób. Każdy z nich dźwiga w tobołkach chyba cały swój dobytek. Kursuję w te i we wte przenosząc cały ten majdan. Widać, że to bardzo biedni ludzie. Spotykamy ich wszystkich przy kolejnym okienku. Proszą nas o wypisanie druczków ponieważ nikt z całej 15 nie potrafi czytać ani pisać. Jadą do Kazachstanu za pracą. Są bardzo wdzięczni za pomoc a my cieszymy się, że choć tak mogliśmy im pomóc.

Teraz czeka nas obszukiwanie bagażu. Na pierwszy ogień idzie Bartek. Upierdliwy celnik każe wyciągać wszystko z kufrów, torby i z każdego pudełeczka. Bartek wnerwiony na maxa, ja coś tam gładzę ale gość nieugięty w swej upierdliwości.

Na znak dezaprobaty kładę się na murku i staram się pokazać, że mam go w dupie. Ta taktyka rodem z podstawówki okazała się na tyle skuteczna, że koleś każe mi tylko uchylić wieko kufra a na koniec wręcza mi jabłko zarekwirowane z obszukiwanego samochodu.

Wzrok Bartka zabija wszystko w promieniu trzech kilometrów.

Następnie podchodzimy do okienka z wypełnionym wriemmiennym wwozem po pieczętkę. Młody celnik nie bardzo wie co i jak. Coś tam sprawdza, mruczy i widać, że bidny jest zagubiony. Widząc to podchodzi drugi młodzian, szpakowaty pomimo chyba 19 lat. Do tego na jego palcu tkwi wielki złoty sygnet.

Piękny ten kawaler bierze papiery przybija pieczętkę i z dumno-cwaniackim uśmiechem wskazuje na papiery, których jednak nam nie podaje. - Voila! – mówię z uznaniem i wyciągam łapę udając, że nie wiem o co mu chodzi

- A nie nie- odpowiada sygneciarz i porozumiewawczo łypie to na nas to na papiery.
- Wypełniłem i podbiłem – dodaje dumnie robiąc te swoje szpiegowskie miny.
- Wspaniale, dziękujemy bardzo – rżniemy głupa.

O nie koleżko. Nie dostaniesz ani grosza za wypełnienie swoich zasranych obowiązków. Widząc, że nie rozumiemy, wychodzi z kanciapy i prowadzi mnie do kąta. Coś tam mruczy pokazując na papiery. Ja znów mu dziękuję za trud i poświęcenie i próbuję wyciągnąć mu je z łapy. Menda jednak trzyma kurczowo te papiery i nie odpuszcza. Wołam Bartka, że niby nie rozumiem o co chodzi.

Gość licząc, że Bartek jest bardziej kumaty pokazuje na papiery, pokazuje gest pieniędzy i powtarza, że czaj czy też na czaj (taki chyba łapówkowy slang) - Aaaaa... nasz okrzyk zrozumienia obudził nadzieję w sygneciarzu – Czaj!!! A nieeeeeeee!!! Spasiba!!!! My czaj użę pili!!! Spasiba!! Nie nada!!! Zdjęcie celnika powinno być w wikipedii pod hasłem „Opadające ręce”

Próbując jeszcze zachować twarz żąda paszportu. Coś tam intensywnie sprawdza, po czym paszport oddaje, wręcza wriemienne wwozy, rzuca Śzczastliwa! i znika.

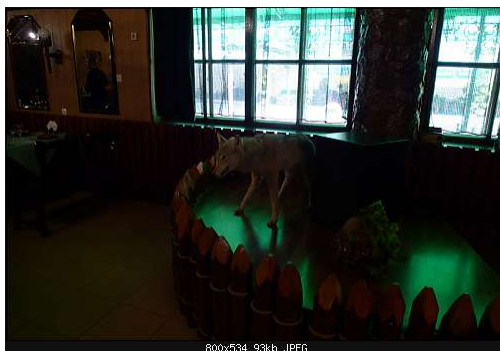


Następnym punktem podróży jest Taraz, duże, całkiem nowoczesne miasto.

Zajeżdżamy pod restaurację z hotelem i klubem, gdzie jemy fajny obiad. Kiedy już zwijamy tobołki podchodzi właściciel knajpy i zaprasza do zwiedzania lokalu. Prowadzi nas do głównej sali myśliwskiej.

Na ścianach wiszą wszelkiego rodzaju łby. Jest nawet cały wilk. Prowadzi nas też do ogródka gdzie czeka pani fotograf. pozujemy na tle poroży na tle fontanny, z właścicielem, bez właściciela, z właścicielem i pracownicą itp. Itd. Brudni, zarośnięci i śmierdzący czujemy się cokolwiek nie na miejscu lecz to właściciela nie zraża. Zaprasza na herbatę,

wręcza ulotki, zapisuje adres i telefon a po chwili przybiega pani fotograf z gotowymi zdjęciami.



Tak obdarowani, żegnamy się wylewnie po czym ruszamy w na Turkiestan.

Znów zaczyna się step a dzień się wydłuża. Kilka km przed Turkiestanem kupujemy ciacho, wino i wjeżdżamy na nocleg w step. Rozbijamy się przy jedynym drzewie w okolicy.

Siadamy przy winie i słuchając niesamowicie intensywnych dźwięków (cykady?) gapimy się w gwiazdy.



Zasypiamy słuchając śpiewu stepu.

Dzień dwudziesty trzeci

Kierując się na Bajkonur szybko mijamy Turkiestan a później Quizilorde. Przez pierwszych 300 km Jedzie się beznadziejnie. Nie najlepszy asfalt, duży ruch a do tego tak silny boczny wiatr, że bolą nas ręce, szyja i głowa od bocznego naporu kasku.



Na przedmieściach Quizylordy ogromne połacie terenu zajmują paskudne szare slumsy. Szare slumsy okazują się jednak nowiutkimi domkami jednorodzinnymi o czym dowiadujemy się z billboardów. Żeby było ciekawiej te pierwszorzędnej urody rezydencje leżące na największym stepie na świecie są tak upakowane jeden obok drugiego, że dzieli je praktycznie tylko droga. Przypomniał mi się kawał o wariacie, który każe się przesunąć kumplowi siedzącemu na torach kolejowych.

Oprócz reklam rezydencji co chwilę z billboardów spogląda na nas czujnym okiem Prezydent.

Prezydent Kazachstanu to istny człowiek renesansu bo oto Prezydent ze zrozumieniem wysłuchuje naukowców, po chwili Prezydent przechadza się wśród brzoź by na następnym plakacie z ojcowską czułością głaskać dzieci. Mało tego! Prezydent fachowym okiem ocenia jakość pszenicy, Prezydent żartuje z kobietami z strojach ludowych, Prezydent przemawia na uniwersytecie, Prezydent bacznym okiem przygląda się mapie swego Kraju.

Po godzinie spontanicznie śpiewamy hymny pochwalne na cześć Prezydenta a Bartek porwany entuzjazmem zapisuje się do miejscowych pionierów.

Na 70 km przed Bajkonurem droga robi, się pusta, słabnie wiatr, otacza nas piękny step. Wszystko to sprawia, że jedzie się naprawdę świetnie.



Już z daleka dostrzegamy sylwetki radarów z kosmodromu.



Trochę surrealistyczny klimat. W środku niczego wyrasta nagle potężna stacja radarowa a kilka kilometrów dalej majaczy potężna sylwetka wyrzutni.



Próbujemy podjechać bliżej lecz stopuje nas rosyjska milicja, mówiąc, że zona zakryta. Napatrzwszy się z daleka na ten kawał współczesnej historii ludzkości ruszamy dalej. Kolejne kilometry to czysta radość z jazdy w iście filmowej scenerii. Dwa motocykle sunące prostą drogą na pustkowiu w stronę zachodzącego słońca sprawiają, że czujemy się jak ...no jak bohaterowie jadący w kierunku zachodzącego słońca.

Za Aralskiem zjeżdżamy nad jezioro, które kiedyś prawdopodobnie było częścią Jeziora Aralskiego.



Filmowa sceneria się nie kończy więc przy winie obserwujemy klucze ptaków na tle różowego nieba odbijające się w wodach jeziora.



Rozdział Piąty - Jak nie urok to sraczka.

Dzień dwudziesty czwarty

Po wyjściu z namiotu wita mnie rozmyta w biegu zielona gęba Bartka oraz powiewający za nim papier. Razem znikają za krzakiem. Po chwili wraca wymęczony walką na dwie strony. Po kilku takich przebieżkach wali się do namiotu słaby jak nomen omen gównu.



Wygrzebuję gdzieś tabletki na podobne dolegliwości. Bartek zażywa i zasypia.

Ja w tym czasie idę głęboko w step, gdzie obserwuje rytuały piesków preriowych czy jak się te śmieszne stworki nazywają. Niestety Krystyna Czubówna miała dziś wolne więc pozostała mi tylko tępa obserwacja bez narracji.

Z fałszywą troską wynikającą z chęci dalszej jazdy co chwilę pytam Bartka czy już lepiej się czuje. W końcu chłopak dochodzi do wniosku, że moja upierdliwość jest dalece gorsza od sraczki. Pakuje szybko tobołki i po chwili możemy jechać dalej Przez 230 km jedzie się fajnie po czym międzynarodowa droga M32 przechodzi w dziury, które z kolei przechodzą w większe dziury a te dla odmiany w drogę gruntową



W przydrożnym kafe przy okazji obiadu pytamy na jakim odcinku jest taka droga
- Przez 80 kilometrów a potem to już tylko aaasfalt i aaaasfalt.

Droga to... w zasadzie to nie droga tylko koleiny i doły upchane na pasie drogowym. Kluczemy pomiędzy tymi dziurami zastanawiając się jakim cudem jeżdżą tędy samochody. Niektóre doły bez większego problemu schowałyby pojazd łącznie z dachem. Po paru kilometrach zjeżdżamy na wąską dróżkę w stepie, biegnąca równoległe do międzynarodowej drogi M32 i paradoksalnie tempo naszej jazdy mocno wzrasta. No i oczywiście komuś to strasznie przeszkadzało bo po chwili zaczęła się ulewa. Zakładamy przeciwdeszczowe ciuchy i wszystko byłoby elegancko gdyby nie to, że w przyływie geniuszu innowacji zamiast założyć ten zestaw jak należy, wkładam kurtkę w spodnie. W efekcie cała woda sływa mi w gacie. Wracamy na główną drogę a tam wita nas kleista śliska maź.



Dopóki jedziemy po śladach poprzedzającej nas ciężarówki jest znośnie, jednak wszystko się zmienia gdy postanawiam ciężarówkę wyprzedzić. Już w połowie ciężarówki zaczyna mną miotać na boki. Po wyprzedzeniu jadę jeszcze 10 metrów zygakiem po czym kładę się jak długi.

Gleba była na tyle konkretna, że odrywa mi kufer i wgnięta osłonę silnika. Okazało się, że to gęste i lepkie błoto zapchało mi cały błotnik, a że brakowało w błotniku jednej śruby, wykręciło go na tyle, że po raz kolejny wlaź pod osłonę silnika blokując koło i kierownicę. Wyprzedzana ciężarówka zatrzymała się a kierowca z pasażerem urządzili sobie teatr obserwując moje tarzanie się w błocie. Gdy już spełnili się jako widzowie, ciężarówka ruszyła w dalszą drogę tylko po to aby 100m dalej zakopać się w błocie. Cały ruch na drodze zamarł. Nawet kamazy nie były w stanie jechać w tej mazi.



Tylko jeden Rosjanin w nowiułkim lancercze ambitnie zaatakował. Bardzo dziękował gdy go w końcu wypchaliśmy z błotnistego dołu. Droga zamieniła się w miejsce piknikowe. Rozmówki, melony i ogólnie bardzo wesółła atmosfera. Kierowcy ciężarówek zapewniają, że jak zaświeci słońce droga momentalnie wyschnie i będzie można jechać. W końcu wydaje się, że już jest lepiej. Ruszyły ciężarówki a w końcu my. Po 50 metrach tańca znów się zatrzymujemy. Opony a zwłaszcza przednie TKC tak się zapchały, że zamieniły się w slicki a wiadomo jak czymś takim jeździ się po błocie. Próbuujemy wygrzebać błoto z pomiędzy koła a błotnika jednak to cholerstwo jest tak gęste, że ledwo się udaje.



Po odczekaniu chwili jedziemy dalej. Jadący teraz z przodu Bartek zatrzymuje się i dotyka przedniej opony. Opona parzy a na jej powierzchni wryte są głębokie bruzdy. Po

odkręceniu błotnika okazuje się, że jest pełny pięknie wypalanej ceramiki, na tyle twardej, że udaje się ją wykruszyć dopiero po dłuższej walce.

U mnie niewiele lepiej. Widząc, że dalsza jazda zakończy się kolejnym zablokowaniem koła odkręcam błotnik zupełnie.



Jedzie się trochę lepiej aż w końcu dojeżdżamy do suchego, gdzie znów przykręcam błotnik. Jednak jest on już na tyle wykręcony, że na odcinku 1000m, 4 razy wchodzi mi pod osłonę silnika 4 razy o mało mnie nie kładąc. W końcu nie wytrzymuje i odcinam kawałek błotnika, zyskując tym samym niesamowitą ulgę psychiczną wiedząc, że byle dziura nie grozi już blokadą kierownicy. Znów jedziemy ścieżką w stepie. Widząc, że już jest sucho i nie grozi mi blokada kierownicy jadę sobie beztrudnie kompletnie tracąc czujność. W efekcie nie zauważam kiedy wbijam się głęboki kopny piach.

Następna rzeczą był lot piękną parabolą nad kierownicą. Tak sobie lecąc zabieram po drodze ze sobą szybę wraz z kawałkiem owiewki, a że odpadł też kufer to już chyba nawet pisać nie trzeba



Po wypłuciu piachu coś we mnie pęka. Rzucam kurwami na prawo i lewo mając ochotę pierdolnąć tym wszystkim w pizdu. Dopuściłem się także znieważenia głowy państwa

wrzeszcząc, że szkoda, że się pedał nie umieścił na plakacie podczas przecinania wstęgi na nowej drodze. Od Kirgistanu jechaliśmy już w pełni wyluzowani mając w pamięci idealne drogi w Kazachstanie. Całe napięcie po Tadżykistanie już z nas dawno spłynęło i to co zastaliśmy tutaj kompletnie nas zaskoczyło.

Polskie przekleństwa mają cudowną moc terapeutyczną. Kilka porządnych wiązanek i od razu się człowiek uspokaja.

Już po zmroku dojeżdżamy do osady gdzie jemy i tankujemy. Miejscowi twierdzą, że od tego momentu to już świetny asfalt.

Skoro tak to jedziemy dalej w kierunku Aktobe.

Faktycznie przez 30 km jedziemy nowiutkim asfaltem. Ogarnia nas jednak stanowczo przedwczesna radość. Po 30 km Nowy asfalt przechodzi w dziurawe szczątki starego asfaltu, który znów kończy się grawiejka i piachem a wszystko to jest ozdobione kropiącym deszczem. Dociągamy do północy, po czym wjeżdżamy w pierwszy zjazd i bez sił walimy się do spania.

Dzień dwudziesty piąty

Pakujemy się w deszczu i wracamy na „drogę”.

Przez godzinę przejechaliśmy 30km. Tłuczemy się po dziurach a najbardziej irytuje nas fakt, że jedziemy wzdłuż nasypu z nowiutkim asfaltem. Niestety oddzielony jest od nas zwałami piachu oraz rowami. W końcu udaje się znaleźć miejsce gdzie z biedą, na czworaka przebijamy się na asfalt. No i oczywiście 300 m dalej był już zupełnie normalny wjazd.... Od tej chwili do samego Aktobe jedziemy eleganckim asfaltem.

W samym Aktobe trafiamy za korek.

Zapytany policjant odpowiada, że powodem wstrzymania ruchu jest wizyta prezydenta, który przyjechał..... otworzyć nową drogę. W milczeniu pojechaliśmy dalej.

Po godzinie błędzenia w Aktobe jedziemy w kierunku na rosyjski Orenburg. Późnym popołudniem, w deszczu podjeżdżamy na granicę. Przed samą granicą zaczyna się ulewa. Szybko podbiegamy do pierwszej budki żeby się dostać przez szlaban pod wiatę. Ciec w budce jednak jest wielce zainteresowany naszymi paszportami. Złośliwe bydle wertuje kartka po kartce nasze paszporty a my w tym czasie coraz bardziej przemoknięci zdążyliśmy już obrazić jego rodzinę na siedem pokoleń wstecz. W końcu łaskawie podnosi szlaban i możemy schować się pod wiatę.

Przy papierkach znów jakiś młody celnik zaczyna coś do nas szeptać lecz szybko przestaje gdy zbiera się więcej osób.

Wracamy z papierami do kontroli bagażu a tam znów młody urzędnik woła nas do kanciapy i zaczyna.

– Wracacie z Tadżykistanu.... ajajaj. Kraj niebezpieczny, duży przemysł broni, narkotyków i rubinów. Powiniem wam bardzo dokładnie przeszukać bagaże ale widzę, że jesteście zmęczeni więc was puszczę. - Ooo balszoje spasiba - Standardowo udajemy tępotę i chcemy zasiadać na motocykle. - a nienienienie. Rozumiecie? PUSZCZAM WAS A POWINIENEM OBSZUKAĆ - no tak tak baaaardzo dziękujemy! Czyli możemy jechać - aj nienienie wiecie... powiniem was obszukać - no to obszukuj pan – Jednak nasza uwaga jakoś nie mogła przebić się przez już ukierunkowanie zwoje mózgowie urzędnika, więc

dalej coś tam nawija, skrobie palcem o palec gotowy za chwilę urządzić teatr cieni aby obrazowo pokazać łapówkę.

My jednak okazujemy się wyjątkowo odporni na pojmowanie delikatnych aluzji. Twierdząc, że nic nie kapujemy wychodzę z kanciapy. Po chwili wypada Bartek zwijając się ze śmiechu.

Okazało się, że zdesperowany urzędnik wyciągnął banknot i macha nim przed Bartkiem.

- dla mnie 🗲 Naprawdę? Dziękuję!! – z tępym wyrazem zadowolenia na pysku Bartek sięga po banknot. Pomimo załamania psychicznego jeszcze nie pozwala jechać. Łazimy oglądamy z zaciekawieniem budynki i ogólnie zachowujemy jak turyści w Notre-Dame. Czara goryczy urzędnika przelała się gdy wyciągnęliśmy się na ławce przed jego okienkiem prowadząc nieskrępowane rozmowy o życiu. Pokonany, bez słowa oddał nam paszporty. Strona rosyjska to już sama przyjemność. Szybko i sympatycznie.

Jako, że zrobiło się już ciemno a deszcz nadal pada pytamy się o jakiś hotelik.

Jedziemy 90 km pod wskazany adres. Jest to motel głównie dla kierowców ciężarówek. Motocykle zostawiamy w motelowym garażu. Po zostawieniu rzeczy w pokoju idziemy do baru. Bar jest przeglądem każdej możliwej nacji dawnego Sowieckiego Sojuza. Czujemy się jak w barze awanturników z gwiazdnych wojen. Brakuje jeszcze tylko jakiegoś osobnika ze słoniową trąbką zamiast nosa i mistrza Yody Chłoniemy ten niesamowity klimat wpięprzając genialnego szaszłyka zrobionego przez Uzbeckiego kucharza. Całym tym samczym spędem rządzi drobna blondynka, której jednak jedno słowo wystarczy aby podпиты wielki chłop schował się szlochając do kąta. Pani okazuje się tak miła, że pokój, jedzenia a rano śniadanie dostajemy na krechę.

Czas na pierwszy od Ukrainy prysznic. Po kolei włączymy do kabiny, napawając się strumieniem gorącej wody. Nie muszę chyba mówić co z nas spłynęło... w każdym razie było to czarne, z kożuchem i chyba zaobserwowałem pierwsze oznaki samodzielnego życia.

Rozdział szósty - Kierowca Łady Samary nie wybacza błędów

Dzień dwudziesty szósty

Rano po śniadaniu Bartek jedzie jeszcze do banku wymienić kasę aby zapłacić za motel po czym ruszamy na Orenburg.



W Rosji widać już pierwsze objawy pięknej złotej jesieni więc jedziemy w słońcu zachwyceni krajobrazem.



W Orenburgu milicja na każdym rogu. Okazuje się, że do miasta przybył nie kto inny jak sam.....Prezydent Kazachstanu !!!! Ileż to będzie nowych tematów na plakaty!!! Z Orenburga jedziemy na Samarę a stamtąd na Penzę i Toliatti.



Za Toliatti przekraczamy przepiękną Wołgę, która bardziej przypomina morze niż rzekę.



Przez most na Woldze jedziemy w korku. Rosjanie są bardzo pomysłowym narodem. Z jednego pasa zrobili 3. 1 właściwy a oprócz niego jeden na poboczu i trzeci na lewym pasie.



Zatrzymujemy się w przydrożnym barze na szaszłyka. Za barem jest ogródek, w którym trwają różne imprezy. Przy motocyklach zagaduje nas jeden z uczestników odbywających się tutaj urodzin. Okazuje się, że służył kiedyś w Legnicy i bardzo miło to wspomina. Zwłaszcza jak go nasi spili na warcie oraz jak handlował zużytymi czołgowymi akumulatorami. W końcu zaprasza nas do siebie na noc. Po chwili przyprawdza radośnie podpiłą żonę. Żona potwierdza zaproszenie jednak prosi żeby poczekać jeszcze 40 minut

na zakończenie imprezy. Po chwili poznajemy jeszcze przyjaciela rodziny który przynosi nam talerz winogron. Całości sympatycznego obrazu dopełnia właściciel knajpy, który wręcza nam po lodzie o wdzięcznej nazwie CCCP. Każdy spotkany Rosjanin na tym wyjeździe był niesamowicie przyjazny. Szkoda, że w Polsce panuje bezsensowna rusofobia napędzana przez polityków.

Rozważamy też dalszą trasę. Początkowo chcieliśmy jechać na północ by wrócić przez Litwę. Jednak jesteśmy na granicy ważności wizy więc nie chcemy ryzykować i wybieramy drogę przez Ukrainę.

Urodziny musiały się jednak na dobre rozkręcić więc po 3 godzinach czekania postanawiamy jechać dalej. Jedziemy nocą lecz nie jest to nie najlepszy pomysł. Po krótkiej jeździe słyszę za sobą pisk opon a w lusterku gwałtownie zbliżające się światła. Odruchowo chowam głowę w ramiona czekając na huk. Na szczęście jakoś wyhamował. Rosjanie jeżdżą ze sporą fantazją więc noc dla motocyklisty nie jest chyba najlepszą porą. Szybko zjeżdżamy w krzaki na noc.



Dzień dwudziesty siódmy



Z Penzy kierujemy się na Tambow. To nie jazda! To walka o przetrwanie! Pamiętaj synu, jeśli choć na 1/10 sekundy zawahasz się przed wyprzedzaniem to na twoje miejsce od razu znajdują się 3 Łady i to na ogół jednocześnie. Przetrwają najlepsi. Reszta nie zasługuje na to by żyć..



Tego dnia nic szczególnego się nie wydarzyło. Jedynym urozmaiczeniem był pościg policjanta za Bartkiem.

Kiedy wyjeżdżaliśmy spod knajpy po obiedzie zauważyłem, że na głównej drodze jedzie za mną radiowóz. Zwolniłem i jadę sobie powoli. Bartek nie widząc policji wystrzelił do przodu.

Ja zwolniłem, policjant też. Ja przyspieszam, policjant też. Acha. Czyli to tak... Zwolniłem do... w zasadzie nie wiem do ilu zwolniłem bo przecie prędkościomierz nie rabotajet. W każdym razie jechałem jak pierdoła.

W końcu policjant nie wytrzyma i włączając koguta rusza w pościg za Bartkiem. Rządny taniej sensacji cisnę za nimi. Policaj dopada w końcu Bartka. Zatrzymałem się w bezpiecznej odległości i obserwuję bieg wydarzeń. Widzę jednak, że Bartek obrał słuszną taktykę na biednego idiotę. Co chwilę widzę tylko jego bezradne unoszenie rąk. Taktyka okazała się skuteczna więc bez strat finansowych jedziemy dalej.



Przed Woroneżem jedziemy przez piękne jesienne lasy a że robi się ciemno rozbijamy się na noc w brzozach za cmentarzem.



Dzień dwudziesty ósmy.

Dziś szybka piłka. Po przebiciu się przez Woroneż jedziemy na Kursk gdzie ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie ma ani jednego czołgu.



Kiedy po dłuższej jeździe wjeżdżamy na rondo zatrzymuje nas stojący tam policjant. Mówi nam, że nie mieliśmy prawa przyjechać drogą, którą przyjechaliśmy ponieważ jest to strefa elektrowni atomowej czy czegoś tam innego związanego z promieniowaniem i należy się mandat.

- Mówicie po Rusku ?

- Da da kanieszna!!!!

- Noo to były napisy mówiące o tym, że strefa zamknięta. Będzie sztraf!

- Aaaa no bo wiecie. My wprawdzie mówimy po rusku aaaale strasznie słabo a czytanie to już w ogóle katastrofa, więc zanim poskładaliśmy literki to już dawno minęliśmy znak. Gdyby jakiś szlaban albo co, to tak, to owszem ale napisyyy?

Jak się Państwo domyślają nasze tak inteligentnie przedstawione tutaj rozmowy po rosyjsku w rzeczywistości brzmiały mniej więcej tak: - My mówię słabo. My też Czytają słabo. My nie widział tego nooo z napisami. Jakby stać ten no taki (tu następuje machanie rękami obrazujące szlaban). Mandatu nie. Mandatu nie trzeba.

Może ze zdumienia a może z powodu napromieniowania milicjant odpuszcza i każe jechać dalej.



Tym samym osiągamy granicę z Ukrainą. Ostatnie kilometry w Rosji to prawdziwa magia.



Jedziemy przez małe wioseczki przy zachodzącym słońcu. Nad polami wisi pięknie pachnący dym z palonych liści. Na jeziorze, w którym odbijają się ostatnie promienie

słońca kołysze się czarna sylwetka łódki ze stojącym w niej wędkarzem. Te ostatnie kilometry odkleiły mnie zupełnie od rzeczywistości.

Granica poszła bardzo sprawnie.

Dłuższa rozmowa była tylko z rosyjskim wojakiem, który 15 razy z prędkością kałacha pytał czy aby na pewno nie mamy broni i narkotyków. Zwłaszcza z brakiem narkotyków nie chciał się pogodzić twierdząc, że wszyscy motocykliści ćpają. Jego nadzieję obudził woreczek z proszkiem do prania u Bratka w kufrze (nie pytajcie po co Bartek brał proszek do prania bo nie wiem). Jednak nie przystał na moją sugestię aby se wciągnął ścieżkę przez studolarówkę w ramach analizy.

Śpimy gdzieś na łące.



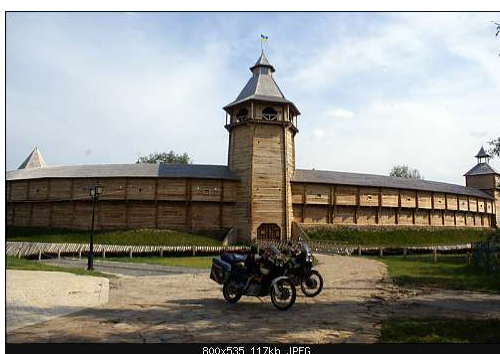
Rozdział siódmy - Wszystko co fajne szybko się kończy

Dzień dwudziesty dziewiąty.

Na Kijów jedziemy prostą, pustą a co najlepsze, świetnej jakości drogą a, że do tego otaczają nas piękne widoki to jazda jest czystą przyjemnością.



Po drodze zatrzymujemy się na chwilę w Głuchowie, gdzie jest piękny pałac oraz drewniany gród wyglądający jak Mirmiłowo. (Niech CO krwawy Hegemon!!!👉? - to jest test na znajomość klasyki)



Wbijamy się na czteropasmówkę, którą jedziemy już do samego Kijowa. Kijów to potężne i nowoczesne miasto. Nad płynącą przez miasto Dniepr powstaje nowe miasto. Taki jakby Manhattan w wydaniu wschodnim, czyli kupa złota, łuków i kopuł maści wszelakiej.

W pewnym momencie, na zatłoczonej 3-pasmówce pojawia się nasz zjazd. Bartek zjeżdża w ostatniej chwili, ja wyprzedzając akurat ładę drugim pasem nie zdążam.

Zjeżdżam w kolejny zjazd, którym dostaję się na właściwą drogę. No i owszem kierunek mam dobry tylko kur.. zwrot przeciwny a że jest to 3-pasmówka przedzielona murem nie mam szans zawrócić.

No i zwiedzam sobie Kijów próbując wrócić na właściwy tor. W końcu gdzieś tam skręciłem, gdzieś nawróciłem, gdzieś się wepchałem przez przejście dla pieszych i wróciłem do czekającego Bartka aby kontynuować jazdę we właściwym już kierunku.

Po 3 godzinach i 50km nadal jesteśmy w Kijowie...

W końcu udało nam się wydostać ze stolicy i pod wieczór minęliśmy Żytomierz. Zimno, mokro i ciemno. W tych pięknych okolicznościach przyrody wjeżdżamy głęboko w las na ostatni nasz nocleg pod namiotami.



Dzień trzydziesty

Od rana grzeje słońce. Piękny jesienny las, w którym spaliśmy spowity jest we mgle... no magia, powiadam, magia.



Po zwinięciu po raz ostatni obozu jedziemy na Równe, Dubno i Beresteczko. Im bliżej granicy tym biedniej ale jednocześnie, przynajmniej dla mnie piękniej. No ale ja mam skrzywienie na punkcie naszych dawnych kresów. Jeszcze zanim zaczęły się gorsze drogi, podczas przejazdu przez jakąś wieś haltuje nas drogówka.

Zanim ich zauważyliśmy trzaskają nam 2 zdjęcia laserowym radarem. Mamy 80 na 40 więc oczywista będzie sztraf.

Otrzymujemy zaproszenie do radiowozu gdzie milicjant informuje nas o potworności naszego przestępstwa i wysokości mandatu.

Mówi o wysokości mandatu (co ciekawe nie płatne do łapy ale przelewem) oraz o 9 punktach karnych. Właśnie te punkty nas zaniepokoiły bo nie byliśmy pewni czy Ukraina podpisała z Polską umowę w tej kwestii.

No ale pan milicjant nieszczególnie chciał dać nam mandat. Zdecydowanie bardziej interesowało go wypisanie upomnienia. Za ten szlachetny czyn otrzymał po 10\$ od łba (na propozycję 10\$ za dwóch zareagował parsknięciem) Tym samym, w ostatnim dniu za granicą otrzymaliśmy jedyny mandat wyjazdu. Za Beresteczkiem chcąc odnaleźć

miejsowość, w której nasz pradziad był dyrektorem szkoły zjeżdżamy na Burzany. Skąd piękną drogą a później piękną błotnistą drogą na azymut wyjeżdżamy w Tetewczycach.



Stamtąd już rzut beretem do Niestanic gdzie właśnie chcieliśmy się dostać.



Jesteśmy w delikatnym szoku kiedy zapytani starsi ludzie pamiętali pradziadka.

Żeby było jeszcze ciekawiej, na lokalnym cmentarzu spotkalismy... Zygmunta Chajzera



Z Niestanic szybki przejazd do Rawy ruskiej na przejście graniczne.

W tym momencie dziękujemy Bogu, że jedziemy motocyklami. Kolejka aut ciągnie nie na kilometry.

Zagadani ludzie oświadczają, że stoją od rana (jest ok. 21 w nocy)

Przy okienkach podziwiamy odbywający się tutaj cyrk. Ukraińskie celniczki otwierają okienka kiedy mają ku temu kaprys.

Jak kaprysu akurat nie mają, plotkują sobie radośnie i malują oczka. Gdy w końcu okienko otworzą. Przyjmują paszporty, z których do uchylonej szufladki wpadają wszelkiego rodzaju banknoty.

Po załatwieniu pieczętki, bokiem podjeżdżamy pod ostatni szlaban gdzie wyskakuje do nas z pyskiem wojak, wrzeszcząc, że kolejka jest, że będzie mandat za jeżdżenie bokiem i że mamy zjechać na bok i czekać Bóg wie na co. -Przepraszam ale czy tutaj zawsze odbywa się taki cyrk – pytam na cały głos czekających w kolejce Ukraińców. Odpowiadają mi kamienne oblicza i wzrok utkwiony w dali. Siadamy na krawężniku mając już wszystko w dupie. Na szczęście kolego wojaka okazał się normalny i kazał jechać dalej. Strona polska i już formalność. Na noc zajeżdżamy do znajomych mieszkających w Zamościu

Dzień trzydziesty pierwszy - ostatni.

Rano urządzamy sobie szybki spacer po Zamościu a następnie kierunek Kraków.



Jedziemy jednak troszkę naokoło chcąc pozachwycać się jeszcze Zamojszczyzną. No i tak jakoś wyszło, że wylądowaliśmy w Sandomierzu.

Kiedy zsiadamy pod zamkiem z motocykli. Słyszymy za plecami głos

- Witam Panów.

Głos wydobywa się z eleganckiego Pana w garniturze i ciemnych okularach. Eleganckim Panem okazał się JOJNA. Pech chciał, że Jojna obyty z Tadżykistanem więc musieliśmy mówić mniej więcej prawdę.

Pożegnawszy się, Jojna pojechał w swoją stronę, a my skoczyliśmy jeszcze na naleśniki na rynek.



Po naleśnikach ruszyliśmy w drogę aby pokonać ostatnie kilometry tego wyjazdu. W Krakowie zatrzymaliśmy się jeszcze na stacji benzynowej gdzie zrobione zostało ostatnie wspólne zdjęcie. Uścisk rąk i już każdy na własną rękę powrócił do rzeczywistości.



Tym samym wyprawa dwóch leszczy dobiegła końca. Podczas tych 31 dni przejechaliśmy 12 500 km wydając na łeb po 1000\$ (nie licząc wiz oraz przygotowania motocykli). Jeśli ktoś w was powtórzy za jakiś czas naszą trasę, może stwierdzić, że miejsca, które opisałem jako trudne, które nas wymordowały, dla niego okażą się całkiem łatwe.

Na tej wyprawie zdobywaliśmy pierwsze szlify w turystyce motocyklowej, więc proszę czytać tę relację biorąc poprawkę na postrzeganie rzeczywistości przez takiego właśnie motocyklowego leszcza.... Hmm ... w zasadzie to taka informacja powinna znaleźć się chyba na początku.....

